

Everett B. Cole

Słabeusz

(The Weakling)

Analog Science Fact & Fiction, February 1961
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain

This text is translation of the short story "The Weakling" by Everett B. Cole, published by Project Gutenberg, April 3, 2009 [EBook #28486].

According to the included copyright notice: "This story was published in Analog Science Fact & Fiction, February 1961. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed."

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Naran Makun popatrzył na siedzącego po drugiej stronie stołu mistrza karawany, Dar Girdeka.

— I nie udało się panu po nim znaleźć ani śladu?

— Niczego. Nawet skrawka z jego ładunku, czy chociażby kosteczki z długoszyjca. Po prostu zniknął razem z całą swoją karawaną. Przejechał przez tę wielką posiadłość ziemską, widzi pan. Potem cofnął się, aby odwiedzić kilka swoich przystanków na obejściu od północy. No cóż, to mniej więcej wszystko co wiadomo. Nie dotarł nawet do pierwszego z nich.

Dar Girdek machnął ręką.

— Sytuacja jest też dosyć dziwna. Och pustka wirowała i mógł wpaść w ramię wiru. To się zdarza, ale nie jest częste, aby tak doświadczony człowiek, jak pański brat, wpadł w pustkę tak głęboko, aby nie móc się jakoś z tego wydostać – a przynajmniej aby nie został żaden ślad po tym co się stało.

Mężczyzna uniósł kubek, przyglądając mu się z namysłem.

— Tak, każdy z nas stracił jakichś bliskich, pewnie. Wszyscy tracimy też od czasu od czasu do czasu jednego czy dwa długoszyjce. Kiedy wiruje pustka, wir potrafi objąć swoim działaniem duże tereny, z ogromną szybkością. A większa część tego północnego szlaku prędzej czy później staje się obszarem pustki. Któreś z tych ramion może w ciągu nocy prześcignąć kolumnę i jeśli człowiek straci głowę, wpada w poważne kłopoty.

Pociągnął łyk ze swego kubka.

— Całkiem niedawno, w taki właśnie sposób złapany został pewien młody mistrz karawany. Mój przyjaciel, dr Zalbon przemierzał szlak po wycofaniu się pustki. Znalazł to, co po nich zostało. Opowiadał mi, że wpadł na stado drapieżników. Piętnaście, dwadzieścia naprawdę wielkich okazów. Szczęki o długości człowieka. Powybijał je i wtedy zorientował się, że żerowały na tym co pozostało z kolumny Dara Konila.

Pokręcił głową.

— To nie są miłe ziemie.

— Chwileczkę. — Naran nachylił się do przodu. — Powiedział pan, że mój brat przemierzył tę wielką posiadłość ziemską. Czy ktokolwiek widział, że z niej wyjechał?

Dar Girdek uśmiechnął się.

— O, pewnie. Sam Kio Barra, Mistrz Właścicieli. Spotkał go na granicy i widział jak ruszył w dalszą drogę.

Naran wyglądał na nieprzekonanego.

— A ten Barra, co to za człowiek?

— Och, on! — Dar Girdek machnął ręką. — Nic w tym guście. Przede wszystkim, jest właścicielem największych posiadłości ziemskich na obszarze gór. Dlaczego więc miałyby sobie zawracać głowę rabowaniem karawan?

Roześmiał się.

— Po drugie, facet jest praktycznie nieszkodliwy. No pewnie, posiada tytuł. Jest Lordem Mountain Lake. I nosi na sobie kupę kryształowego sprzętu psionicznego. Ale ma mniej więcej na tyle ikry, aby przywalić jakiemuś drobnemu łobuzowi – jeżeli nie jest on zbyt twardy. Dar Makun może jest pańskim małym braciszkiem, ale zjadłby tego gościa na śniadanie, gdyby tamten próbował być niemiły.

— Chce pan powiedzieć, że to psioniczny słabeusz? Ale w takim razie jak udało mu się zostać mistrzem Protektorem Posiadłości?

Dar Girdek uśmiechnął się krzywo.

— Po śmierci ojca. Jego brat przepadł gdzieś w świecie. Został tylko on. Tytuł jest zbyt czysty, aby ktokolwiek próbował jakiejs zabawy.

— Rozumiem. — Naran wyprostował się i wygodnie oparł. — A teraz, co z tą pustką?

— No cóż, oczywiście wie pan co się działo kiedy pseudoludziom z Piątej udało się podkraść i wyłączyć ohydztwo swoich destruktorów na Carnol?

— Co nieco. Byłem jednym z ludzi, którzy dopilnowali tego, żeby nie wrócili do siebie aby świętować.

Naran zamknął na chwilę oczy.

— Taa. Jak słyszałem, to pan był tym gościem, który ich zwinął. Szkoda, że nie dali panu tej roboty wcześniej. Może nie mielibyśmy teraz na głowie tego bałaganu.

Dar Girdek wzruszył ramionami.

— W każdym razie, zmienili w parę miasto i spory kawał ziemi wokół niego. To już kiepska sprawa, ale późniejsze efekty są znacznie gorsze. Nasi uczeni łamią sobie nad tym głowy, ale wszystko co potrafią nam powiedzieć to tylko to, że ten cały rozległy obszar stał się psionicznie równie martwy jak komora eksperymentalna.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Tyle, to ja sam mógłbym im powiedzieć. To coś w rodzaju chmury. Wpada w turbulencje, wyrzuca na zewnątrz ramiona, a potem ściąga je z powrotem do siebie. Obchodzilibyśmy ten cały bałagan, ale znajduje się on dokładnie na samym środku szlaku handlowego. Jedyna droga obejścia, wymaga mnóstwa dni na szlaku, całkowicie dookoła morza wewnętrznego i przez region jezior. Potem trzeba wrócić się kawał drogi, jeśli chce pan prowadzić handel we wnętrzu kontynentu. I nadal wtedy istnieje ryzyko, że wpadnie się w ramię wiru.

Naran przekrzywił głowę.

— I co? Powiedzmy, że się wpadło w ten wir? Trzeba tylko poczekać. — Uśmiechnął się. — Wie pan. Po prostu go zignorować. Pójdzie sobie gdzieś dalej.

— Acha. Brzmi dosyć prosto. Chodzi tylko o to, żeby zrobić, co trzeba. Ale na tych terenach żyją pewne stworzenia. Czasami trudno je zignorować.

— Mówi pan o drapieżnikach?

— Zgadza się. Jeśli napotka się któregoś z nich na normalnym terenie, w ogóle nie ma z nim problemu. Wystarczy władować mu strzał z dystortera i pada jak długi. Potem pozostaje tylko problem, czy zmienić go

w błoto, czy zostawić padlinę dla jego krewnych i przyjaciół. — Uśmiechnął się. — Z tego co mówił pański brat, pan nie potrzebowałby nawet dystortera.

Naran uśmiechnął się z rezygnacją.

— To jedna z rzeczy za które mi płacą — zauważył. — Na morzu spotyka się dosyć paskudne bestie.

— Taa. Słyszałem. Wielkie, wstrętne bydlęta. Nasze robactwo jest mniejsze. Ale co człowiek ma zrobić, kiedy wpada na te dwadzieścia ton, lub coś koło tego, czystego mordy, a ma do dyspozycji nie więcej mocy psionicznej niż jakiś tam pseudocząłowiek?

Naran popatrzył na niego z namysłem.

— O tym, nie pomyślałem — przyznał. — Mogłoby mi się to nie spodobać. Szczęki długości człowieka, jak pan wspomniał?

Jego rozmówca przytaknął głową.

— Czasami nawet i dłuższe. A zęby długości pańskiej ręki. Jedno kłapnięcie i nic nie pozostanie. Kiedy zabijają długoszyjca, dostają całkiem niezły posiłek i kiedy odchodzą, zostawiają po sobie jakieś tam resztki. Ale ludzie, to co innego. One po prostu nigdy nie mają ich dosyć i nie zostawiają nawet okruszka.

Machnął ręką.

— Było kilka kolumn, które zostały pochwycone przez pustkę. Widzi pan, ramię wiru rozciąga się nad nimi nocą i mistrz karawany czasami traci głowę. Nie jest w stanie myśleć o niczym innym, niż tylko żeby wydostać się z tego. Och, może krzyczeć na swoich woźniców. Oni mają swój język i wszyscy go znają. To proste. Ale czy kiedykolwiek próbował pan zmusić długoszyjca do ruszenia się bez kontroli psionicznej?

— Rozumiem co pan ma na myśli. To może być nieco trudne.

— Taa. Może być. W każdym razie, po pewnym czasie, każdy wrzeszczy już na każdego innego. Długoszyjce piszczą i ryczą. Woźnice szarpią za wodze. A stado drapieżników słyszy to zamieszanie. Więc zbierają się dokoła, żeby zobaczyć całą zabawę. Rozumie pan, o co mi chodzi?

Naran skinął głową, a Dar Girdek kontynuował

— No cóż, tyle na ten temat. Kiedyś, już dosyć dawno temu, jakiś człowiek zdołał dostać się do jaskini i schować się w niej do czasu aż wiry pustki przeszły i w pobliże nadciągnęła inna karawana. Ale zazwyczaj, nie znajduje się niczego, poza niewielkimi szczątkami ładunku i resztkami długoszyjców. Nikt jeszcze nie natknął się na szczątki człowieka czy pseudocząłowieka. Tak jak powiedziałem, jedno kłapnięcie i nie pozostaje nic.

Naran uśmiechnął się krzywo.

— Niełatwo być popularnym, jak mi się wydaje. — Nachylił się do przodu. — Ale pan pokonał już parę razy ten szlak, od czasu kiedy on zniknął. I powiedział pan, że niczego nie znalazł. Ani śladu kolumny. Zgadza się?

Jego rozmówca pokręcił przecząco głową.

— Nawet kawałka siodła ładunkowego.

— Zbiera pan teraz karawanę, nieprawda? Chciałbym pojechać z wami, podczas następnej podróży. Faktem jest, że prześladują mnie pewne paskudne myśli. I nie zaznam spoczynku, dopóki się nie dowiem, czy mam rację, czy nie.

Dar Girdek potarł podbródek.

— Nie chciałby pan się może wkupić?

— Nie, nie sędzę. Będę pracował w swojej branży – jako pański woźnica prowadzący zaprzęg.

— Och nie! — roześmiał się Dar Girdek. — Nie wsadza się psionika na długoszyjca. Woźnica prowadzący, musi być pseudoczłowiekiem, podobnie jak pozostali.

Spoważniał.

— No tak. Mógłby pan kierować innymi woźnicami, ale tak się po prostu nie robi.

Naran uśmiechnął się.

— Jeśli chodzi o to, co będą wiedzieć inni woźnice, to ja jestem po prostu kolejnym pseudoczłowiekiem. Na statku, byłem agentem nie-psi, pamięta pan? Zarabiamy na życie, mając do czynienia z ludźmi w obszarach nie-psionicznych.

— To się nie uda. — Mistrz karawany pokręcił głową. — Ci woźnice potrafią być dosyć szorstcy w kontaktach między sobą. Już pierwszego dnia musiałyby pan dwu lub trzem z nich pokazać ich miejsce. Albo to, albo zarobi pan mnóstwo siniaków i skończy jako obozowe popychadło.

— Niewykluczone — odparł Naran. — Powiedzmy, że zrobimy tak. Wpuści mnie pan do komory eksperymentalnej, tak żebym nie mógł szachrować. Potem wyśle pan do środka swojego najtwardszego woźnicę i powie mu pan, żeby mnie stamtąd wykopał. Ja pokażę mu parę sztuczek, których nauczyłem się od zamorskich nie-psi i kiedy się obudzi, będzie zachowywał się już znacznie rozsądniej.

Leuwan, Kio Barra. Lord Mountain Lake, Mistrz Właścicieli Kira Barra i Protektor Wspólnego Boga, stał przyglądając się zestawowi kryształów w szafce. Zastanawiał się nad dużą, jaskrawo błyszczącą sferą skryształizowanego węgla, lecz po chwili pokręcił przecząco głową. To będzie coś trudnego do zniesienia, był tego pewien. Streszczenie o wysokiej intensywności mówiło coś o problemach współczesnego świata, można więc było oczekiwać, kolejnej z tych nudnych rzeczy o dobru Wspólnoty.

Dlaczego, zastanawiał się, jakiś twórca projekcji marnował swój czas i wysiłek na stworzenie czegoś podobnego? I dlaczego marnowano jeszcze więcej czasu i wysiłku, na rozsyłanie tego do wszystkich? Kiedy człowiek chciał się zrelaksować, to potrzebował czegoś, przy czym mógłby to zrobić. W tej chwili szukał czegoś lekkiego.

Skierował swoją uwagę na inne kryształy, aż w końcu wybrał niewielki, niebieski pryzmat. Wziął go do ręki, przyjrzał się mu, a potem skinął

głową i położył go na smukłym, czarnym cokole, stojącym koło jego fotela, z którego mógł wszystko widzieć bez niepotrzebnego wysiłku.

Odwrócił się, sprawdzając każdy zakątek swego pustego gabinetu, później wyciągnął spod pachy zakończony szafirem złoty pręt, umieścił go ostrożnie w uchwycie wbudowanym w ramię fotela, w miejscu do którego jego ręka mogła w razie potrzeby wygodnie sięgnąć.

Ostrożności nigdy za wiele, pomyślał. Oczywiście potrafiłby sobie poradzić z każdym krnąbrnym niewolnikiem w inny sposób, ale dystorter był wygodną bronią i można było zaufać, że stanowi on narzędzie nacisku o dowolnej potrzebnej mocy. A jego użycie było znacznie mniej kłopotliwe, niż konieczność koncentracji się na bardziej intensywnych metodach jak nacisk nerwowy lub selektywny paraliż.

Trzeba konserwować swoje siły na chwile, kiedy mogą one być naprawdę potrzebne.

Istniało również pewne niewielkie prawdopodobieństwo, że pojawi się jakiś pozbawiony ziemi włóczęga i znajdzie lukę w ochronie Właścicieli – a nawet jakoś zdoła przedostać się do Rezydencji. Barra wzdrygnął się na tę myśl, a potem odepchnął ją ze wzruszeniem ramion. Kira Barra była dobrze chroniona, o tym się upewnił. Zawsze czujni surogaci rozmieszczeni byli we wszystkich strategicznych miejscach Posiadłości – pozwalając nie tylko na szybką obserwację stanu ziemi, ale także wysyłając automatyczne ostrzeżenie o zbliżaniu się każdego człowieka, o nieprzyjaznym nastawieniu umysłu.

Usiadł w fotelu, pokręcił się w nim przez kilka chwil, dopasowując go do swego ciała, a potem oparł się wygodnie z westchnieniem odprężenia i skierował swoje myśli do leżącego przed nim kryształu.

Pod impulsami jego wzmocnionych myśli, kryształ zaświecił się, zdawał się rozrastać, a potem stał się trójwymiarową panoramą.

Streszczenie o wysokiej intensywności i fragment wprowadzający, były dosyć wierne, przyznał Barra, kiedy historia zaczęła się rozwijać. To była dobrze zrobiona projekcja przygodowa, oparta na wojnie z Piątą planetą. Krytycznie obserwował działania załogi statku zwiadowczego, z aprobatą przyjmując potraktowanie tematu przez autora i wybór materiału. On, Barra, był kimś w rodzaju konesera tych przygodowych kryształów, nawet pomimo tego że nigdy jakoś nie uznał za niezbędne opuszczenie dobrze chronionej powierzchni Ziemi.

Wzruszył ramionami, odwracając swą uwagę od projekcji.

Ludzie bez ziemi, powiedział sobie – artyści zajmujący się rozrywką, mistrzowie karawan, marynarze, inni wędrowcy o niewielkiej odpowiedzialności – byli naturalnym wyborem do wyruszania w kosmos i radzenia sobie z odległymi zagrożeniami.

Tak jak wszyscy inni stabilizowani, odpowiedzialni ludzie, właściciele ziem i majątków, przedstawiał zbyt wielką wartość dla Wspólnoty, aby ryzykować swoją osobą w dzikich wypadach na martwe, pozbawione energii psionicznej ziemie, albo poza planetę w bezmierną pustkę kosmosu. Przynajmniej jeśli chodzi o ryzykowanie w bojowych misjach międzyplanetarnej wojny. Pokręcił głową. To była kompletna głupota.

Zmarszczył z niepokojem czoło. To było jednak trochę niesprawiedliwe, ze strony Kontrolerów. Zwolnili go całkowicie ze służby, na podstawie decyzji o jego niezdolności do niej. Przez cały czas bardzo go to bolało.

Oczywiście, trudno było od niego oczekiwać, aby pędził szaleńczo w jakimś dwuosobowym statku zwiadowczym. Nawet jako asystent swego brata, zawsze był człowiekiem o dosyć określonym stanowisku i odpowiedzialności, i takie wybryki byłyby poniżej jego godności. Dał im to wyraźnie do zrozumienia.

Były jednak pewne odpowiedzialne stanowiska, na których człowiek o jego zdolnościach i pozycji, mógł wносить pozytywną wartość. I, jak im wykazywał, mogliby przydzielić go na jedno z nich.

Ale, nie! Po prostu go odsunęli. Niezdolny!

Jeżeli o to chodzi, powiedział sobie z gniewem, on, Kio Barra, mógłby zachować się najlepiej jak wymagałaby tego sytuacja.

Te dziarskie postaci w projekcji były, oczywiście, tylko wytworami wyobraźni jakiegoś nieustabilizowanego marzyciela. Wykazywały one jednak zwykły brak stabilizacji pozbawionych ziemi włóczęgów. A co tacy ludzie mogli zrobić, czego solidny, odpowiedzialny człowiek nie mógłby zrobić lepiej?

Wrócił do kryształu, ale po chwili pokręcił z niesmakiem głową. Stał się on zupełnie płaski, bez sensu. Poza tym miał sprawy o rzeczywistym znaczeniu, którymi musiał się zająć.

Skierował swoją uwagę na fotel, który posłusznie obrócił się, aż znalazł się twarzą do swego wielkiego widoku kryształu.

— Równie dobrze mogę rzucić okiem na Wschodni Brzeg — powiedział sobie.

Kiedy skupił uwagę, kryształ rozszerzył się, a następnie zmienił się w ogromne okno, przez które mógł oglądać brzegi śródlądowego morza, a następnie ziemie na wschód od dużej wyspy, na której zbudował swoją rezydencję. W miarę jak obraz przesunął się coraz dalej, spoglądał z aprobatą na pofalowane, obsypane drzewami wzgórza.

Nagle skrzywił się z irytacją. Wielka północna pustka znowu wpadła w turbulencje, wyrzucając swe bezkształtne ramiona w kierunku granic Kiry Barry. Warknął cichutko.

To, powiedział sobie, jest rezultat nieostrożności tych pozbawionych ziemi głupców, którym powierzono obronę rodzimej planety. Ich słaba, kiepsko zaplanowana obrona, pozwoliła pseudoludziom z Piątej przemknąć się i w dosyć znacznej liczbie miejsc na powierzchni rzucić swoje destruktory. To było właśnie jedno z nich.

W tym miejscu znajdował się ogromny obszar na którym kiedyś stało wielkie miasto, obejmujące także doskonale prosperujące i produktywne posiadłości Mistrza Protektora. Obecnie tereny te zostały zdegradowane do zwykłych pustkowi stanowiących miejsce ucieczki zbiegłych niewolników, gdzie mogli prowadzić swe podobne do zwierzęcego życie w lenistwie i beczynności.

Stracił już kilku pseudoludzkich niewolników w obszarze zupełnej pustki i wiedział, że prawdopodobnie straci jeszcze wielu kolejnych. Mimo pilnujących surogatów zawsze prześlizgiwali się przez rzekę i znikali w wirującej nicości. Ale teraz, mając to diabelstwo tak blisko...

Nie miał również strażników, którym mógłby zaufać i wysłać ich za tymi ludźmi. Ta banda strażników, jakimi dysponował, mogłaby się zdecydować na opuszczenie swojego protektora i podjęcie bezczynnego życia tak uwielbianego przez ich pseudoludzkich braci. Paru z nich już uciekło i tak właśnie zrobiło. Pamięć o otrzymanej ochronie i przyznanych im przywilejach była krótka i zawodna. Westchnął.

— Niewdzięczne bydlaki!

Niektórzy z Mistrzów Protektorów mieli pewne problemy w tym zakresie. Innym udało się wynająć usługi półludzi – słabych psioników, zbyt słabych do tego by rządzić, a wystarczająco silnych i zdolnych by byli czymś więcej niż zwykłymi pseudoludźmi.

Ci półludzie byli wspaniałymi, lojalnymi strażnikami i nadzorcami – dla tych niektórych – ale żaden z nich nie pozostał w Kira Barra. Pojawiali się tutaj, prawdę mówiąc, przez jakiś czas zostawali, a potem odchodzili.

I, pomyślał gniewnie, powstrzymywanie tych półludzi w jakikolwiek sposób, było nielegalne. Jacyś zidiociali głupcy przyznali ich rodzajowi prawa obywatelskie Wspólnoty. Półludzie byli nawet w stanie podejmować służbę we flocie w czasie wojny z Piątą Planetą. Niektórym z nich udało się jakoś zyskać pewne niewielkie zasługi – i obecnie wielu z ich posiadało status weteranów tej zwycięskiej wojny – status który dla niego, jednego z wielkich posiadaczy ziemskich, był niedostępny.

Nie, powiedział sobie, do czasu kiedy problem obszarów pustki nie zostanie rozwiązany i nie uda się ich wyeliminować, ci pseudoludzie którym uda się przejść przez północnowschodnią rzekę będą bezpieczni w swych nieznanych krainach. A, pomyślał kwaśno, uczeni nie czynili żadnych postępów w studiach obszarów pustki.

Prawdopodobnie zajęci byli badaniami dającymi poważniejsze szanse większych lub bardziej bezpośrednich korzyści osobistych.

Oczywiście pustkowia nie były tak zupełnie nieznane, a przynajmniej nie dla niego. Obejrzał te tereny osobiście. W Posiadłości były wzgórza, z których można było zwykłym nieuzbrojonym okiem przeniknąć w głąb martwego obszaru, nawet jeśli silniejsze i bardziej dokładne narzędzia parawzroku powstrzymywane były na jego granicy. Tak, miał okazję zobaczyć dotkniętą tą chorobą ziemię.

Zauważył, że większość z nich odzyskała swą płodność. Istniało na nich obecnie życie – choćby niektóre z jego własnych jaszczurów rzeźnych, które przewędrowały przez rzekę i wyrwały się spod jego kontroli. Widział nawet paru ze zbiegłych pseudoludzi, przemykających się przez zarośla i budujących swe prymitywne obozy.

— Dzikusy — powiedział do siebie. — Zwyczajne zwierzęta. I nie da się nic z nimi zrobić, dopóki pozwala się przetrwać martwym terenom.

W końcu, jak twierdzili uczeni, martwe obszary powinny słabnąć i z czasem zniknąć zupełnie. Uśmiechnął się z goryczą. To był niezły unik –

dobra wymówka pozwalająca na uniknięcie studiów nad nimi i możliwych niebezpiecznych badań.

Jak długo te obszary pustki pozostaną, stanowić one będą stałe źródło strat dla odpowiedzialnych Mistrzów Protektorów i tym samym zagrażać będą samym podstawom Wspólnoty.

Może powinien... Pokręcił przecząco głową.

Nie, pomyślał, to mało praktyczny pomysł. Parawzrok był za granicami obszarów pustki bezwartościowy. Żaden surogat nie zdoła się do nich przebić, ani żadna broń nie będzie działać w ich wnętrzu. Wkroczenie na te tereny byłoby dla prawdziwego człowieka bardzo niebezpieczne. Tam, stałby się on przedmiotem zmasowanego fizycznego ataku i nie byłby w stanie zastosować odpowiedniej przeciwko niemu obrony.

Z pewnością, obszary północnej pustki nie były dla niego właściwym miejscem podróży. Tylko pseudoludzie byli w stanie znieść warunki tam panujące, i dlatego znaleźli tam swój raj i chwilowo stali na najlepszej pozycji.

Poza tym ta sprawa leżała w zakresie odpowiedzialności Rady Kontrolerów i tak wysoce przez nią opłacanych uczonych.

Skoncentrował się na kryształach, przesuwając widok tak, aby przyjrzeć się najbliższej położonej wiosce.

Nagle wyprostował się w fotelu. Stado zaurianów z wolna przemieszczało się w kierunku jednego z ramion wyrzuconych przez pustkę. Wkrótce wpadną w strumień i zanurzą się w nim tak głęboko, że znajdą się poza wszelkimi możliwościami kontroli. Być może będą wędrować całymi latami przez pustkowia. Może one oraz ich potomstwo dostarczą mięsa pseudoludziom czającym się w wirującej pustce.

Warknął pod nosem. W zasięgu wzroku nie było żadnych pasterzy. Żadnego strażnika pod ręką. Będzie musiał zająć się tą sprawą osobiście. Skoncentrował swoją uwagę na kryształach energetycznych dalekiego surogata wlewając swoje całe ego w urządzenia sterujące.

W końcu łeb przywódcy stada uniósł się do góry. Potem jego długa szyja wykrzywiła się, wijąc się na wszystkie strony, aż w końcu ogromna bestia zaczęła patrzeć prosto na stos kamieni, w którym kryły się kryształy surogatu. Powolny ruch stada stał się jeszcze nawet wolniejszy, aż w końcu zatrzymało się ono, kiedy inne zwierzęta zorientowały się, że coś się zmieniło. Więcej z komicznie małych główek obróciło się w kierunku surogatu.

Kio Barra wiał się w swym fotelu. Utrzymywanie tych pustych umysłów było zadaniem, którego zawsze nienawidził.

Z pewnością wymagało to mniejszego łącznego wysiłku, niż byłby niezbędny do kontroli nad wyżej zorganizowanymi pseudoludźmi, ale bardziej złożone umysły reagowały z większą prędkością i wysiłek szybciej uległby zakończeniu. Przypominałoby to krótką, czasami ostrą walkę, a potem poddanie.

W tym przypadku, była to jednak długotrwała, mozolna praca – nieustanne spychanie miękkiej, nie stawiającej oporu, ale ciężkiej masy. Jeśli cokolwiek miało zostać osiągnięte niezbędna była pełna koncentracja. Gadzie umysły były równie niestabilne, co puste, i miały tendencję do wyślizgiwania się, jeśli nie trzymało ich się pewnie i mocno. Wpatrywał się bez ruchu w swój kryształ, marząc aby ogromne gady zawróciły – aby poczłapały z powrotem kołyszącym krokiem na bezpieczne łąki posiadłości, z dala od pustki.

W końcu stado ponownie ruszyło w drogę. Jedna po drugiej, ogromne bestie zawracały i niezdarnie ruszały w stronę bardziej normalnych pastwisk, zaś ich długie szyje kołysały się swobodnie w rytmie ich kroków.

Przełączając się z surogatu na surogat, Barra podążał za nimi, popędzał je, zmuszał je do dalszej drogi, aż wreszcie zanurzyły się w szerokich bagniskach, na północny wschód od wioski Tibara.

Westchnął ze zmęczeniem i przesunął swój punkt widzenia do surogatu, wyglądającego na samą wioskę. Co się stało, zastanawiał się, z pasterzami – i ze strażnikami, którzy powinni nadzorować pracę w tym dniu?

Na wpół ukryte wśród paproci i podobnych do masztów pni drzew, pod ochroną lasu, kryły się prymitywne chaty Tibary, wtapiając się w otoczenie, tak że tylko wiedzący o nich obserwator byłby w stanie zidentyfikować ich niewyraźne kształty. Barra przeniósł swój punkt widzenia do surogatu w centrum wioski.

W wiosce były jeszcze inne otwarte przestrzenie, ale placyk okalający to miejsce był największy. Tutaj była również wioskowa studnia, wokół której gromadka kilkorga dzieci grała w jakąś trudną do określenia grę. Starszy mężczyzna zebrał stos kamieni i rozpoczął pracę przy obramowaniu studni. W tej chwili siedział koło miejsca swojej pracy, opierając się o podstawę częściowo rozebranej ściany. Plamki słonecznego światła przebijającego się przez zwisające wysoko w górze liście, tańczyły na jego ciele, pozostawiając twarz w cieniu. Drzemał sobie w cieple, od czasu do czasu na wpół otwierając oczy, aby leniwie ogarnąć wzrokiem rozpościerającą się przed nim scenerię.

Przed niektórymi z chat otaczających prymitywny plac, na ziemi kucali kobiety, ich ramiona kołysały się monotonnie w górę i w dół, w miarę jak uderzały drewnianymi tłuczkami w miseczki z ziarnem, mielonym na pospolity posiłek, który był podstawą ich diety.

Kilku mężczyzn, których dało się dostrzec, grzebało w ziemi w małych przydomowych ogródkach albo leniwie reperowało narzędzia. Inni kucali koło swoich chat, zajmując się sprzętem do łowienia ryb. Jeszcze inni po prostu opierali się o co wygodniejsze drzewa, spoglądając jeden na drugiego, ich usta poruszały się w groteskowy sposób pseudoludzi, próbujących znaleźć wymówkę do kilku chwil leniwej bezczynności.

Barra przysłuchiwał się przez moment bezmyślnej gmatwaninie chrząknięć i syków, a potem zaczął ignorować dźwięki. Tworzyły one, jak

mu mówiono, coś w rodzaju elementarnego kodu komunikacyjnego. Zakasłał lekceważąco. Tylko podludzie mogliby zmusić się do studiowania takich rzeczy.

Oczywiście wiedział, że niektórzy z pozbawionych ziemi potrafili prowadzić głosowe rozmowy z pseudoludźmi, a mistrzowie karawan zdawali się to robić regularnie, ale on nie widział sensu w podejmowaniu takiego wysiłku. Mógł oznajmić swoje żądania bez poniżania się, poprzez wydawanie idiotycznych odgłosów.

Jego kryształy komunikacyjne były w stanie przesłać proste myśli nawet do wnętrza grubych czaszek tych niewolników. I, oczywiście potrafił – co zresztą często stosował – wymusić posłuszeństwo i działanie swych niewolników korzystając z normalnych, zmysłowych środków, jak przystało na członka rasy prawdziwych ludzi.

A czego więcej można chcieć od pseudoludzi niż posłuszeństwa? Czy ktoś mógłby może mieć ochotę, na dyskutowanie z tymi na wpół zwierzętami, kwestii jakichś abstrakcyjnych zainteresowań? Popatrzył na okoliczną scenerię z rosnącą irytacją.

Teraz już sobie przypominał. Był to jeden z tych dni odpoczynku, które kiedyś zafundował im jakiś idiota w Radzie. A grupa ciężko myślących głupców na to się zgodziła i teraz trzeba było tolerować dni okresowego lenistwa.

Czasy się zmieniły, pomyślał. Kiedyś, niewolnik był niewolnikiem, a człowiek mógł oczekiwać od niego pracy w zamian za ochronę i wsparcie.

Ale nawet przy nowych, miękkich prawach, stada musiały być pilnowane – szczególnie przy tych rozszerzających się obszarach pustki. Nawet jakiś pozbawiony ziemi idiota powinien być w stanie zrozumieć przynajmniej tyle.

Skierował swoją uwagę na chatę przywódcy.

Człowiek ten był koło niej. Otoczony przez paru wieśniaków siedział przed swoją prymitywną, krytą liśćmi chatą, groteskowo poruszając ustami. Po chwili przestał robić nimi hałasy i uniósł głowę. Potem skinął głową, spoglądając po wiosce.

Najwyraźniej zrobił sobie wolne i pozwolił swoim ludziom, aby robili co chcieli, bez żadnego nadzoru.

Barra zaczął koncentrować się na surogacie, aby oznajmić wszystkim swoje niezadowolenie i życzenia. Po chwili, jednak, odwrócił się niecierpliwie od kryształu, chwytając za swoją laskę. Pomimo skuteczności surogatów, pewnymi rzeczami lepiej było zająć się osobiście.

Zerwał się na nogi i ze złością wyszedł z gabinetu, wysyłając przed sobą stanowcze wezwania. Kiedy znalazł się w szerokim korytarzu, zbliżył się do niego starszy niewolnik. Barra popatrzył na mężczyznę władcym spojrzeniem.

— Mój płaszcz — zażądał. — I korona mocy.

Wyemitował obraz swojego płóciennego płaszcza i ciężkiego złotego nakrycia głowy o precyzyjnie rozmieszczonych kryształach, pieczołowicie

uwzględniając czerwony, zielony i niebieski blask różnych klejnotów. Skrupulatnie oddał szczegóły wdzięcznie ukształtowanych detali, tworzonych przez oprawy wspierające świecące kule. Wskazał ręką na wyścielaną koronę inkrustowaną krystalicznym węglem, tak by służący nie mógł niczego pomylić. Człowiek był bardziej wrażliwy niż wioskowi niewolnicy, ale pomimo wszystko był przecież tylko pseudoczłowiekiem i musiał mieć wszystko dokładnie objaśnione.

Kiedy mężczyzna poszedł do szafy, Barra popatrzył za nim nieszczęśliwym wzrokiem. Ciężki krążek energetyczno-sterujący nie był konieczny w Rezydencji, ponieważ zainstalowane w budynku wzmacniacze, spełniały wszystkie jego wymagania. Ale na zewnątrz, we wsiach i na polach, niezbędne było przenośne źródło energii i kontroli, a ta ciężka złota korona była najlepszym urządzeniem, jakie udało mu się zdobyć.

Nawet pomimo tego, nie znosił zakładać korony na głowę. Zamontowane w swoich punktach podparcia masywne kryształy same z siebie ważyły kilka funtów, a chociaż złote podpory izolacyjne zostały zaprojektowane tak filigranowo, jak to tylko było możliwe, metalowy krąg wciąż był masywny i ciężki. Noszenie tego urządzenia wymagało od mięśni jego szyi znacznego wysiłku i zawsze dostawał potem bólów głowy.

Przez chwilę jego umysł przepełniała zazdrość dla potężnych psioników. Wiedział, że byli tacy, którzy nie potrzebowali urządzeń energetycznych ani sterujących, będąc w stanie rządzić i kierować siłami psionicznymi, bez żadnej pomocy. Ale jego moce, chociaż równie efektywne jak wszystkich innych, wymagały wzmocnienia, i kiedy wychodził z Rezydencji, zabieranie ze sobą korony miało krytyczne znaczenie.

Prawidłowe i silne zarządzanie sprawami Posiadłości, dotyczącymi zarówno rzeczy ożywionych jak i nieożywionych, wymagało znacznej mocy psionicznej, co sprawiło, że wielki czerwony kryształ energetyczny w centrum korony był najbardziej niezbędny.

Poza tym, równocześnie występujące problemy sterowania, mogłyby być trudne – czasami nawet niemalże niemożliwe – do rozwiązania, bez kryształów koordynujących, umieszczonych na bokach opaski.

A zawsze istniała możliwość, że spotka się z jakimś nie posiadającym własnej ziemi przejezdnym, któremu mogą zaimponować zasoby pozostające do dyspozycji pana Kira Barry. Znał niejednego przykład, kiedy Mistrz Protektor został pokonany przez jakiegoś głodnego zysku bezdomnego wędrowca, który potem w ten czy w inny sposób zdołał zabezpieczyć swój udział w majątku zwyciężonej ofiary. Uśmiechnął się ponuro.

Nieostrożność może być kosztowna. W końcu, on sam udowodnił to swojemu bratu.

Kio Barra ciągle jeszcze pamiętał pierwszy raz, kiedy pokłócił się gwałtownie z Boemarem. Ciągle jeszcze pamiętał ten łagodny, współczujący uśmiech i nagłą, skręcającą męczarnię, która przebiegła przez niego, gdy jego kryształ energetyczny został przeładowany.

Rozbłysk energii pozostawił go na wiele dni niezdolnym do niczego więcej jak odbiór tylko bardzo silnej myśli.

Roześmiał się. Ale biedny, miękki głupiec, jakim był Boemar starannie pielęgnował umysł brata, aby wrócił ponownie do pełni sił.

Tak, Boemar był potężny, ale bardzo nierozsądny. I zapomniał o jednej wielkiej sile swego słabszego brata – sile która rosła w miarę jak Leuwan stawał się coraz starszy. I dlatego właśnie, to Leuwan był teraz Kio Barra.

Coś takiego, jednak, nigdy już się w Kira Barra nie powtórzy. Ze swymi urządzeniami sterującymi i wzmacniaczami, bardziej niż dorównywał najpotężniejszemu z wielkich psioników – tak długo, dopóki nie spotkają się z jego strony z gorącym współczuciem.

Stał w milczeniu, dopóki służący nie nałożył mu korony na głowę i nie umieścił na ramionach płaszcza. Potem, kładąc pod pachę swój ciężki dystorter, odwrócił się w stronę drzwi zewnętrznych. Klejnoty sterujące na jego koronie zapłonęły wewnętrznym ogniem, kiedy uniósł się kilka cali ponad podłogę i poszybował w stronę wyjścia.

Niedaleko od tonącej w cieniu lasu wioski Tibara, związane razem parę drewnianych kłód, tworząc wystający z brzegu pływający pomost, stanowiący przystań dla wydrążonych pni, używanych przez mieszkańców wioski do łowienia ryb w jeziorze. Spoczywało tam zacumowanych kilka łodzi, z dziobami skierowanymi w stronę unoszących się na wodzie bali pomostu. Kolejne wyciągnięte były na żwirową plażę, gdzie leżały dnem do góry, tak by mogły wyschnąć i zostać oczyszczone.

Przy łodziach i koło pomostu przykucnęło kilku mieszkańców wioski. Inni jeszcze zajęci byli przy sieciach, rozłożonych na żwirze aby wyschły.

Jedna duża sekcja pomostu była pusta. To miejsce zawsze zarezerwowane było do użytku Lorda Mountain Lake.

Gdy łódź Barry pędziła po wodzie, on sam skupił swoją uwagę na kłodach pomostu, popędzając łódź, aby nabrała większej szybkości. Jej ostry dziób unosił się wysoko ponad wodę, a w tyle za pędzącą łodzią, ciągnęła się długa smuga piany.

Kiedy dziób wisiał już niemalże nad pływającymi pniami, Barra gwałtownie przeniósł skupioną uwagę na prawą część rufy, ciągnąc z całą mocą kryształów napędowych łodzi. Pojazd raptownie skręcił, wyrzucając solidną strugę wody nad pomost i brzeg, oblewając łódki i znajdujących się między nimi ludzi.

Potem dziób opadł i łódź spoczęła nieruchomo na wodzie, mniej niż cal od pływających bali pomostu.

Barra przez moment przyglądał się odległości między łodzią i kłodami, a potem kiwnął z satysfakcją głową. Było to niezłe cumowanie, pod względem każdych standardów.

Napięcie odrobinę już z niego opadło i wzbił się z łodzi, unosząc się nad pomostem.

Surowo spoglądał na wieśniaków, którzy zerwali się w międzyczasie na nogi, ocierając wodę z twarzy i głów. Znieruchomieli, spoglądając na niego ze strachem, a on władczo machnął w kierunku łodzi.

— Zabezpieczyć ją!

Klejnoty na jego koronie sterującej rozbłysły na chwilę, wzmacniając i emitując tę myśl.

Mieszkańcy wioski skrzywili się, a potem dwóch z nich ruszyło, aby wykonać polecenie. Barra odwrócił od nich swą uwagę i skierował się w stronę drzew, które częściowo zasłaniały właściwą wioskę.

Kiedy opadł na ziemię na pustym placu przed chatą przywódcy, mężczyźni i kobiety spojrzeli na niego, po czym ruszyli w stronę swoich domów. Zignorował ich, skupiając uwagę na samym przywódcy.

Mężczyzna wstał i z niepokojem obserwował twarz pana.

Przez kilka sekund Barra przyglądał się mężczyźnie. Był stary. Został przywódcą wioski za rządów starego Mistrza Protektora, jego ojca – a jego brat nie widział powodu do zmiany, pozwalając starzejącemu się przywódcy dalej rządzić dobrem swego ludu.

Ale to była już przeszłość. Obaj poprzedni Kio Barra byli miękkimi, słabymi ludźmi, nie szukającymi więcej niż przeciętnych wyników. On, Leuwan, był inny – bardziej wymagający – żądał wysokich dodatknych zysków z Posiadłości.

Och, z całą pewnością, Kira Barra jakoś całkiem nieźle prosperowała pod miękką ręką jego poprzedników, pomimo ich skłonności do rozpieszczania podludzkich pseudoludzi, ale było wiele niedociągnięć, które doprowadzały Leuwana do wściekłości, kiedy był jeszcze zaledwie młodzieńcem. Zmarszczył brwi w zamyśleniu.

Oczywiście, gdyby tamci dwaj nie byli tacy miękcy i tolerancyjni, to nigdy by nie został Loredem Mountain Lake. Musiałby znaleźć sobie jakieś inne zajęcie, gdzie indziej. Porzucił ten kierunek myślenia.

To nie miało związku z obecną sytuacją.

Skupił całą uwagę na stojącym przed nim człowieku, zwiększając zapotrzebowanie wzmacniacza w koronie, do pełnej mocy.

— **D**laczego wszyscy twoi ludzie marnują beczynnie swój czas? Gdzie są pasterze i strażnicy?

Twarc przywódcy stężała z wysiłku. Machnął ręką na południe i wydał z siebie kilka bezsensownych dźwięków. Słabo, jego myśl dotarła do Barry.

— W południowym lesie, ze stadem. Nie jesteśmy beczynni, mamy dzień odpoczynku. Mniej pracujemy.

Barra popatrzył ze złością na mężczyznę. Czy ten głupiec myślał, że może zrobić unik i znaleźć wyjście z kłopotów, które przyniósł mu ewidentny brak jego nadzoru? Wyciągnął kciuk ku północy.

— A co z tym stadem zmierzającym ku północnej rzece?

Dwa zielone kryształy komunikatora zalśniły zimnym ogniem.

Przywódca wydawał się być zdezorientowany.

— Nie ma na północy — dobiegła zamazana myśl. — Żadnego stada na północy. Wszystkie w południowym lesie, w pobliżu bagna. Pilnują jednoręcy chłopcy. Paru strażników. Jest dzień odpoczynku.

Barra wpatrywał się w pseudoczłowieka z niedowierzaniem. On naprawdę upierał się przy tych wysiłkach, by wyłgać się ze swojej porażki. A może próbował jakiegoś rodzaju obrony? Jego ojciec i brat tolerowali takie rzeczy, a może było to coś nowego, wynikającego z wieku tego człowieka? Albo może próbował manipulować Mistrzem Protektorem, żeby zobaczyć jak daleko może się posunąć w nadwątlaniu jego władzy.

Poradzi sobie z tym – i to zaraz!

Nagle odwrócił się, aby skierować swą uwagę na centralny surogat. Był on wyposażony w kryształ projekcyjny.

Powietrze nad placem zaświeciło się i na wolnej przestrzeni pojawił się widok jakiegoś miejsca. Niewątpliwie była to północna część Kira Barra. Widać było jezioro i wystarczająco wiele punktów charakterystycznych terenu, aby lokalizacja stała się oczywista, nawet dla pseudoczłowieka. Uważnie, Barra usunął każdy ślad wirującej pustki, który mógłby wedrzeć się na przedstawioną scenę. Może to stojące przed nim podludzkie stworzenie wiedziało coś o jej właściwościach, ale nie było sensu w robieniu rzeczy zbyt oczywistymi.

Skupił prezentowany obraz na rzece, wprowadził do niego zbliżające się stado, a następnie błyskawicznie dodał własną twarz, pokazując siebie obserwującego co się dzieje. Potem przybliżył obraz na tyle mocno, aby widać było, że w pobliżu stada nie ma żadnego z ludzi. Na koniec ponownie zwrócił swoją uwagę na przywódcę.

— To było to stado. Gdzie byli twoi ludzie?

Starzec z niedowierzaniem pokręcił głową, a potem odwrócił się w stronę jednego z niewielu ludzi, którzy wciąż pozostawali na polanie.

Wydał serię dźwięków, a tamten skinął głową. Rozległy się kolejne warknięcia i syknięcia, potem przywódca machnął ręką w kierunku południowym i jego rozmówca kiwnął głową ponownie i odwrócił się aby ruszyć biegiem i zniknąć między drzewami.

Przywódca ponownie spojrzał na Barrę.

— Wysłałem człowieka — pomyślał z mozołem. — Upewnić się, że stado jest ciągle na południu.

Wskazał na miejsce, w którym znajdowała się projekcja.

— To nie stado — pomyślał. — To inne stado. Nigdy wcześniej go nie widziałem.

Barra wykrzywił się ze wściekłości.

— Ty nieudolny kretynie! Ośmielasz się nazywać swojego pana kłamcą?

Obrócił się dookoła, zerkając po wiosce wściekłym spojrzeniem. Jego uwagę przyciągnął stos kamieni, który zauważył już wcześniej. Skupił się na nim.

Parę kamieni wzbiło się w powietrze i pomknęło w stronę przywódcy.

Starzec rozejrzał się wokół siebie, z oczyma rozszerzonymi nagłym strachem. Uchylił się przed jednym z lecących kamieni, a potem zaczął odwracać się by uciec.

Barra natychmiast rzucił na niego drugi wąż kontroli i ucieczka została powstrzymana.

Poleciały kolejne kamienie, uderzając z głuchym odgłosem i odlatując aby znowu nabrać prędkości, zanim zawróciły i uderzyły ponownie.

W końcu Barra odwrócił się od gruzowiska kamieni porzucanych na ziemi wokół bezkształtnej masy. Rozejrzał się dokoła po wiosce, a wściekłość powoli w nim opadła.

Widać było kilka twarzy, zerkających z okien i spoza drzew. Machnął ręką.

— Wszyscy mieszkańcy wioski — rozkazał. — Zebrać się tutaj przede mną. Natychmiast!

Czekał z niecierpliwością, aż ludzie opornie wyłonią ze swych chat i spoza drzew, aby przejść na pusty plac.

W końcu wieśniacy się zgromadzili. Barra omiótł ich spojrzeniem, zapamiętując jak każdy z nich na niego patrzył. W odróżnieniu od pozostałych, jeden z młodych strażników stada stanął blisko swojej kobiety. Barra przyjrzał mu się z namysłem.

Tego człowieka, jak zauważył, słuchały zarówno zwierzęta jak i ludzie. Obserwował go przy pracy, tak samo jak obserwował wszystkich innych mieszkańców wioski, i w oczywisty sposób człowiek ten zdolny był do podejmowania szybkich decyzji – to znaczy na tyle szybkich, na ile mogły być w wykonaniu pseudoc człowieka. Wskazał na niego palcem.

— Ta wioska potrzebuje nowego przywódcy — pomyślał stanowczo. — Przejmiesz jego obowiązki.

Mężczyzna spojrzał w stronę skulonej masy pośrodku kamiennego rumowiska, a potem popatrzył na swoją kobietę. Słaba fala niechęci doleciała do surowo spoglądającego Barry.

— Powiedziałem ci, że jesteś nowym przywódcą — pomyślał władczo. — Przejmij swoje obowiązki.

Machnął ręką.

— I pozbądź się tego bałaganu. Od teraz chcę, by wioska wyglądała schludnie.

Kiedy mężczyzna pokornie pochylił głowę, Barra odwrócił się, uniósł się ponad ziemię i majestatycznie popłynął w stronę brzegu jeziora. Dalsze postępy prac w wiosce mógł sprawdzać w swym kryształowym widokowym, w rezydencji.

Sprawa została załatwiona i nie było sensu zbyt długo pozostawać w przynębiającej atmosferze wioski.

Poza tym, była jeszcze ta przygodowa projekcja, której nie dokończył. Być może teraz go bardziej zainteresuje.

Kiedy projekcja zniknęła, Barra rozejrzał się po gabinecie, a potem wstał z fotela i wziął kryształ z czarnego cokołu. Stał, przez kilka sekund

przyglądając mu się z aprobatą, po czym podszedł do szafki i wsunął go z powrotem do futerału. Przez chwilę mierzył wzrokiem resztę posiadanego zestawu.

W końcu jednak pokręcił przecząco głową. Niektóre z nich mogłyby sprzedać nieskanowane. Pozostałe – no cóż, mogły poczekać.

Tak, pomyślał. Kryształy z projekcjami lepiej zostawić na jakiś czas w spokoju. Nie skończył jeszcze inspekcji Posiadłości, a sytuacja w Tibarze może nie być odosobnionym przypadkiem. Westchnął.

Prawdę mówiąc, dobrym pomysłem mogłoby być przeprowadzanie częstych wyrywkowych inspekcji.

Krótko po objęciu przez siebie Posiadłości, dopilnował obrony Kira Barry. Uśmiechnął się krzywo, gdy pomyślał o wydatkach, jakie wtedy poniósł, na zdobycie wszystkich tych kryształów energetycznych i kontrolnych, pozwalających na stworzenie jego instalacji surogatowych. Ale były one warte każdego wydanego grosza.

Starał się być wtedy bardzo dokładny, ale to było już jakiś czas temu. Ostatnia przeprowadzona przez niego pełna inspekcja miała miejsce prawie rok temu. Ostatnio zadowalał się punktowymi kontrolami, nie do końca obejmującymi całą Posiadłość, od granicy do granicy.

Oczywiście, te miejscowe inspekcje były tak obliczone, aby wykryć potencjalne problemy i aby były jak najbardziej produktywne, ale wciąż mogą istnieć jakieś ukryte sprawy, o których powinien wiedzieć. Im także trzeba było się przyjrzeć.

Odwrócił się i powędrował z powrotem na swój fotel, obracając go dokoła tak by zatrzymał się przed kryształem widokowym.

Taka właśnie była sprawa Tibary, jeśli już o tym mówimy. Może dobrze by było przeliczyć to stado i pozytywnie zidentyfikować zwierzęta.

Niewykluczone, że pastwisko zaczęło robić się zbyt ubogie i powinien poinstruować nowego przywódcę, aby przejść na lepsze ziemie. Te zwierzęta wyglądały na dosyć wychudzone, kiedy tak już o tym teraz pomyślał.

Może jeszcze jakieś długoszyjce oddzieliły się od głównego stada i zabłądziły, i powinien kazać przywódcy wysłać strażników, aby je zebrali i przyprowadzili z powrotem.

Skoncentrował się na kryształach widokowych, zamiatając nim w tą i z powrotem, aby przeskanować całe bagno na które skierował to małe stado.

Wciąż tam były, tarzając się w płytkiej wodzie i pasąc na bujnej roślinności. Uśmiechnął się. Minie kilka dni, zanim ich słabe umysły odrzucą wrażenie które w nie wmusił, że to jest dla nich najwłaściwsze miejsce do żerowania.

Leniwie sprawdzał poszczególne zwierzęta, a potem pochylił się do przodu, przyglądając się im bardziej krytycznie. Nie były to ciężkie, tłuste hodowane na mięso sztuki, normalne dla stada Tibary. Coś było nie tak.

Należały ogólnie do tej samej rasy, co długoszyjce ze stada Tibary, z pewnością, ale albo ich pastwiska były niewiarygodnie złe, albo musiały ostatnio biegać – dużo i szybko. Wyglądały niemalże jak zwierzęta pociągowe.

Zmarszczył brwi. Jeśli te sztuki pochodziły ze stada Tibary, musiało mu coś umykać przez dosyć długi czas.

Z namysłem spowodował przesunięcie skanu. Kiedy podążył wzdłuż biegu niewielkiej rzeki, dostrzegł grupki ogromnych zielonkawo-szarych zwierząt, pasących się na wrażliwych paprociach skalnych. Tu i tam zauważył pasterzy i chłopców obozowych, albo pilnujących albo przeganiających wielkie zwierzaki przy pomocy swoich narzędzi do robienia hałasu, utrzymujących stado razem. Przyjrzał się krytycznie wszystkiemu, licząc i oceniając. W końcu rozsiadł się wygodniej w fotelu.

Stado w całości było tutaj – co do najmniejszych młodych. I zwierzęta były w dobrej formie. Uśmiechnął się krzywo.

A więc, te bestie tam dalej na bagnach, naprawdę nie należały do niego. Musiały przywędrować do Posiadłości z pustki i były właśnie w drodze powrotnej. Przywódca... Wzruszył ramionami.

— No, cóż — powiedział do siebie, — i tak nadszedł czas, abym wyznaczył dla Tibary nowego przywódcę. A dyscyplina od dzisiaj będzie tam znacznie ściślejsza.

Zaczął ponownie przesuwac skan, a potem usiadł w fotelu. Obraz powoli się przemieszczał.

Siedział i obserwował, a skan przesunął się automatycznie, na wschodnią granicę Posiadłości. Można tam było dostrzec cienką, ciągnącą się przez znaczny kawałek terenu, linię zaurianów pociągowych, każdy z siedzącym mu okrzakiem na szyi woźnicą. Karawana zatrzymała się i ciężko opancerzona wierzchowa jaszczurka podjechała naprzód do surogatu. Jej jeździec stanął przed skrytymi w nim kryształami.

Kiedy Barra skupił się na nim, mężczyzna skinął głową.

— Mistrz Protektor?

— Zgadza się — Barra aktywował swoje komunikatory. — Jestem Kio Barra, Mistrz Posiadłości Kira Barra.

Jego rozmówca uśmiechnął się.

— Jestem Dar Makun, niezależny mistrz karawan — oznajmił. — Turbulencja pustki zmusiła mnie do zejścia z drogi. Kosztowało mnie to kilka jucznych zwierząt i parę dni czasu. Chciałbym poprosić o pozwolenie na przejście przez pańskie ziemie. A może mógłby mi pan uczynić przysługę i sprzedać kilka długoszyjców, żeby uzupełnić moją karawanę. Zwierzęta, które mi pozostały, są trochę przeładowane.

Barra zastanowił się. Oczywiście, nie była to żadna niezwykła prośba. Niektóre z karawan zwyczajowo przechodziły przez Posiadłość, żeby robić z nią interesy. Inne często były zmuszane do zejścia z drogi przez północną pustkę i przechodziły przez Kira Barrę.

Oczywiście, mistrzowie karawan byli pozbawionymi ziemi golcami, ale w przeszłości nie sprawiali specjalnych kłopotów. A ten zdawał się wybijać nieco ponad przeciętność, jeśli już o tym mówić. Na swój sposób, był posiadaczem, ponieważ mistrz właściciel to zupełnie ktoś inny niż człowiek, który za pieniądze, tylko kierował karawaną należącą do innego.

Północna pustka była zagrożeniem, pomyślał Barra, ale nawet i ona czasami jednak miała swoje zalety. Regularne karawany, oczywiście, przejeżdżały korzystając z uprzejmości Posiadłości, robiąc z nią po drodze interes. Ale te inne płaciły, a ich opłaty za przejazd i wykorzystanie pastwisk, powiększały dochody Posiadłości.

W tym przypadku, sprzedaż pociągowych zaurianów, mogła być całkiem zyskowna. Przesunął kryształowy widokowy, umożliwiając wizję dwukierunkową.

— Z pewnością. — Skinął ręką. — Proszę skierować swoją kolumnę na zachód od drugiej rzeki. Potem niech ją pan przekroczy i uda się na południe. Spotkam się z panem w pierwszej wiosce do której pan dotrze, tam możemy zabezpieczyć pańskich niewolników i umieścić zwierzęta na pastwiskach u moich pasterzy. Stamtąd jest już blisko do Rezydencji.

— Dziękuję — Dar Makun ponownie uklonił się głową, po czym odwrócił się i machnął ręką. Barra odebrał słabo polecenie aby ruszać dalej.

Obserwował przez kilka minut, przyglądając się długiej kolumnie, jak przemieszcza się przez pagórkowaty obszar i zanurza się w lesie. Potem przesunął swój skan, aby kontynuować inspekcję reszty swych ziem. Minie jeszcze kilka godzin, zanim karawana dotrze do Tibary, a on mógł ją ponownie odszukać i przyglądać się jej postępowi, kiedy tylko zechce.

Rozsiadł się wygodnie w fotelu, oglądając przewijającą się przed nim panoramę Posiadłości. Od czasu do czasu zatrzymywał stały ruch skanera, aby dokładniej przyjrzeć się jakiejś wiosce lub stadu. Potem kiwał z zadowoleniem głową i kontynuował dalszą inspekcję.

Posiadłość, zdecydował, była ogólnie w dobrym stanie. Oczywiście, w najbliższych dniach trzeba będzie wprowadzić kilka poprawek, ale to można załatwić po wyjeździe karawany.

Na przykład, dotyczyło to pola ze zbożem w regionie Zadabar. Tego przywódcę trzeba przywołać do porządku. Uśmiechnął się ponuro. Może dobrze by było stworzyć w tej wiosce wakaty. Ale to mogło kilka dni poczekać.

Skierował skan z powrotem do wschodniej części, śledząc trasę, którą przekazał mistrzowi karawany. W końcu w polu widzenia pojawił się długi rząd zaurianów i zaczął obserwować ich zwodniczo niezręczny krok, gdy obcy przedarli się przez las i wyszli na obszary wysokich traw.

Zrobili znacznie większe postępy, niż się spodziewał, i musiał się przygotować, jeśli planuje być w Tibarze, kiedy tam przybędą.

Znacznie bardziej ostrożnie niż zwykle, dobierał swój strój. Zdecydował, że tym razem będzie potrzebował sporo urządzeń ochronnych. Nigdy nie można być pewnym co do tych mistrzów karawan.

Oczywiście, dopóki jasno dostrzegali daremność każdego zdradzieckiego ruchu, stanowili dobre towarzystwo i byli ludźmi z którymi łatwo się żyło. Ale byłoby krańcowym nierozsądkiem dać któremuś z nich jakiegokolwiek szansę. Mogłoby się po prostu okazać, że ten akurat jest już zmęczony wędrówką.

Czekał cierpliwie, aż niewolnik założy mu brosze osłony i umieści na głowie koronę sterującą. Potem wziął przyniesioną przez mężczyznę

szkatułę i wyciągnął z niej parę pierścieni paraliżujących, wsuwając je na środkowe palce u dłoni. W końcu odesłał tego człowieka.

Wyleciał z budynku i osiadł na poduszkach na rufie swojej łodzi motorowej. Uważnie sprawdził stan jednostki. Stwierdził, że podwładni wszystko naszykowali. Pokrowiec był zdjęty, pokazując czyste i wyraźnie kształty łodzi.

Skierował uwagę na kryształ energetyczny, a łódź wysunęła się ze swego schronienia, nabrała prędkości i przecinając wodę ruszyła do odległej linii brzegowej.

Skupiając tylko część umysłu na kontrolowaniu łodzi, Barra spoglądał na jezioro. Był to rozległy akwen, usiany wysepkami i bogaty w wodne życie.

Może uda mu się przekonać Dara Makuna, aby wziął kilka ładunków suszonych ryb z jeziora, zarówno na własne racje żywnościowe, jak i na sprzedaż po drodze do swego miejsca docelowego. Niektóre z magazynów, jak zauważył, były nieźle już wypełnione i wkrótce będzie musiał zorganizować wysyłkę kilku dostaw.

Łódź zbliżała się już do pomostu w Tibarze. Skoncentrował się na doprowadzeniu jej blisko miejsca cumowania, a następnie udał się na wschodni kraniec wioski. Kiedy przelatował przez centrum, wezwał do siebie przywódcę.

Dotarł do wioski w idealnym momencie. Czoło długiej karawany znajdowało się już prawie po drugiej stronie trawiastej równiny. Przez chwilę chodziło mu po głowie, żeby może wyjść naprzeciw i przywitać mistrza karawany. Odrzucił jednak ten pomysł. Byłoby to trochę poniżej jego godności, aby mistrz posiadłości służył jakiejś karawanie jako zwykły przewodnik. Został więc na miejscu, czekając.

Dostrzegł, Dara Makuna siedzącego między płytami pancerza swojej jaszczurki. Gad należał do jednej z ciężko opancerzonych ras, które widywał, podróżując ponad sektorem północno-zachodnim.

Były to, jak mu powiedziano, zazwyczaj stworzenia z terenów suchych. Takie bestie mogły dobrze się hodować na obszarach, na których długoszyjce trzymałyby się kiepsko. Powinien może rozważyć zakup niewielkiego stadka hodowlanego.

Mistrz karawany zatrzymał swego wierzchowca i ruszył w powietrzu w stronę drzew. Barra uważnie się przyglądał, zbliżającemu się mężczyźnie.

Był to wysoki, szczupły człowiek, dobrze wyglądający w swym prostym podróżnym ubraniu. Kilka klejnotów kontrolnych błyszczało mu z palców i miał na sobie małą broszę z osłoną, ale nie było widać u niego żadnego ciężkiego sprzętu. Jego dystorter, jak zauważył Barra, był to zwykły pręt, zakończony niewielkim klejnotem. Użyteczny, z całą pewnością, ale raczej na krótki dystans. Barra odrobinę wykrzywił wargi.

Ten człowiek nie był kimś naprawdę znaczącym, zdecydował. Prawdopodobnie ta jedna karawana stanowiła całe jego bogactwo i żył z

opłat za przewóz oraz ze sprzedaży paru własnych towarów, na pokrycie poniesionych wydatków.

Gdy Dar Makun opadł na ziemię obok niego, Barra skinął mu głową.

— Poinstruowałem już mojego tutejszego przywódcę, aby zajął się pańskimi woźnicami i zwierzętami — powiedział. — Czy ma pan jakieś bagaże osobiste?

Przybysz uśmiechnął się.

— Dziękuję panu. Wyślę jednego z chłopców, żeby przyniósł moje pakunki, kiedy woźnice podjadą i zaczną rozładowywać zwierzęta. Możemy złożyć je na stos tutaj, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Kiedy Barra skinął głową, zgadzając się, Dar Makun odwrócił się, wymachując rękoma. Wziął głęboki oddech i zaczął głośno wołać. Wydawane przez niego okrzyki, przypominały te, które Barra często słyszał z ust swoich niewolników. Mistrz Protektor poczuł ukłucie niesmaku.

Oczywiście, kilku mistrzów karawan, prowadzących regularne interesy z Kira Barra, czasami krzyczało do swoich niewolników. Ale jakoś nigdy się do tego nie przyzwyczyli. Zdecydowanie wolał robić interesy z tymi nielicznymi, którzy odnosili się do swoich pseudoludzi, tak jak do swoich zwierząt – cicho i z godnością odpowiadającą prawdziwej rasie.

Począł, aż Dar Makun skończy swoje warczenia i syki. Jeden z woźniców z karawany zbliżył się do nich, przynosząc kłęb płóciennych ubrań. Barra popatrzył na nie z irytacją.

— To — zapytał się w myślach — ma być jego bagaż?

Odzyskał równowagę i zwrócił się do Dara Makuna.

— Może włożyć bagaże na łódź — powiedział swemu rozmówcy. — Polecę jednemu z moich ludzi, aby przyniósł je panu, kiedy dopłyniemy na wyspę.

Odwrócił się i popłynął w powietrzu w stronę nabrzeża.

Kiedy wypłynęli na jezioro, Dar Makun usadowił się na poduszkach.

— Nigdy nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak wielkie jest to jezioro — zauważył. — Od zawsze wykonywałem to obejście północnym szlakiem, przez tę część kontynentu. Och, pewnie, że oglądałem okolice jeziora ze wzgórz, ale...

Popatrzył z namysłem na wodę.

— Ma pan tutaj dużo ryb słodkowodnych?

Barra skinął głową.

— Mieliśmy niezłe żniwa.

Dar Makun zamknął oczy, a potem otworzył je ponownie.

— Mógłbym dobić z panem targu co do zakupu jakiejś części połowu — zauważył. — Ludzie na zachodzie lubią słodkowodne produkty.

Popatrzył uważniej na Barę.

— Będę musiał rozpakować dla pana swoje ładunki — mówił dalej. — Może paroma rzeczami będzie pan zainteresowany.

Barra skinął głową.

— To możliwe — przyznał. — W takim miejscu, zawsze coś jest potrzebne.

Odrobinę zwiększył prędkość łodzi.

Łódź dotarła do nabrzeża i Barra poprowadził swojego gościa do Rezydencji, do gabinetu w którym aktywował kryształ widokowy.

— Wciąż jest wystarczająco dużo światła, byśmy mogli rzucić okiem na parę stad — powiedział Darowi Makunowi. — Zdaje się, że wspominał pan o kilku dodatkowych zwierzętach pociągowych, które mogłyby się panu przydać.

Makun przyglądał się jak wzgórza Kira Barry rozpościerają się przed nim w powietrzu.

— To dobry sposób na zlokalizowanie stad i zrobienie kilku wstępnych obserwacji — przyznał. — Ale, oczywiście, żeby naprawdę wybrać, będę musiał obejrzeć zwierzęta z bliska.

— O?

— Fakt. Widzi pan, te wielkie jaszczury nie wszystkie są takie same. Niektóre z nich są naprawdę dobre. Inne, po prostu się nie nadają. Niektóre wręcz położą się na ziemi, kiedy tylko poczują po raz pierwszy na sobie uprząż.

Makun skinął głową w stronę projekcji.

— Taki wielki bydlak, jak te, na przykład — ciągnął dalej. — Oczywiście, może schudnąć i stać się dobrym tragarzem. Ale zazwyczaj, jeśli któryś z nich wygląda jak wielka kupa mięcha, to tylko na nie się nadaje. Wiele z nich nie jest nawet w stanie utrzymać ciężaru człowieka na szyi. Przygina je do samej ziemi.

— Dobry tragarz potrafi unieść bez większego problemu kilkanaście ton ładunku, ale niektóre z nich na suchym lądzie z trudem radzą sobie nawet z ciężarem własnego ciała, i trzeba dosyć uważnie się im przyjrzeć, aby się upewnić, które są odpowiednie. Nie da się tego ocenić, przy pomocy projekcji.

Barra popatrzył na mężczyznę z nieco większym szacunkiem. Przynajmniej znał się trochę na swoim biznesie. Przesunął widok na bagno.

Oczywiście, pomyślał, w zachodnim sektorze też są zwierzęta pociągowe. Ale to małe stado było akurat pod ręką.

— No cóż — powiedział. — Mam tutaj takie niewielkie stadko. Uciekły jakiś czas temu i straciły sporo na wadze, zanim znowu je zagoniłem.

Makun przyglądał się projekcji z większym zainteresowaniem.

— Tak — zauważył. — Chciałbym udać się tam rano i popatrzeć na te zwierzęta. Może uda mi się wybrać spośród nich te pięć, których potrzebuję. Może nawet wziąbym jedną lub dwie sztuki na zapas.

Bagno było zastoiskiem jeziora, dostępnym poprzez wąski kanał. Barra zmniejszył szybkość łodzi przepychając ją przez stojącą wodę. Wiedział, że w tym miejscu, kanał był czysty i wkrótce powinien zrobić się szerszy. Ale dalej było trochę żwirowych łach, które mogły sprawić

kłopoty, jeżeli ktoś nie uważał. A jego uwaga musiała być podzielona. Popatrzył na swojego towarzysza.

Makun oparł się o poduszki, patrząc na grube listowie wysoko nad ich głowami. Potem skierował swoją uwagę na brzegi kanału. Z wody wysunął się długi, zielonkawy kształt. Wskazał na niego.

— Dużo podobnych temu stworów kręci się tutaj?

— Tych szkodników? — Barra popatrzył na płaza. — Nie za wiele, ale chętnie zmniejszę jeszcze ich liczbę.

Wziął swój dystorter ze stojącego obok niego stojaka i wycelował go przed dziób łodzi. Szafir rozjarzył się.

W porastającej brzeg roślinności nagle coś się gwałtownie zakotłowało. W powietrze wyskoczyło jakieś smukłe stworzenie z szeroko rozdziawionym pyskiem, pełnym potężnych zębów.

Poleciało ponad niższe gałęzie, wydając z siebie syczący ryk. Potem zwinęło się w kłębek i przez chwilę wisiało nieruchomo w powietrzu, zanim z mokrym pluskiem nie spadło z powrotem w zarośla.

Barra odwiesił pręt z klejnotami z powrotem na wieszak.

— Nie lubię tych straszylet — wyjaśnił. — Mogą zabić niewolnika, jeśli nie będzie uważał. I denerwują zwierzęta hodowlane.

Skinął głową do przodu.

— Tam jest stado — mówił dalej. — Po drugiej stronie tej otwartej wody. Podpłynę blisko do nich i będzie pan mógł je dokładniej obejrzeć, jeśli pan sobie życzy.

Makun rozejrzał się, a potem wzruszył ramionami.

— Nie ma potrzeby. Dalej już podlecę sam. Nie zajmie mi to zbyt dużo czasu.

Uniósł się w górę i pomknął w stronę jednego z wielkich zaurianów. Barra przyglądał się jak zwalnia, podlatuje blisko łba bestii, a potem zawisa w miejscu.

Kiedy przeleciał następnie wzdłuż całego tułowia stworzenia, z jego umysłu promieniowało wrażenie lekkiego zadowolenia. Przeszedł do kolejnego zwierzęcia, a później do jeszcze następnego.

W końcu wrócił na łódź.

— Zabawna sprawa — skomentował. — Zdaje się, że para moich własnych zwierząt juczych, przedostała się bez szwanku przez pustkę i wmieszła się w pańskie stado.

Uśmiechnął się.

— Łut szczęścia. Szkoda, że reszcie nie udało się utrzymać razem z tamtymi, ale nie można mieć wszystkiego. Oczywiście, zapłacę panu opłatę podrózną za te dwie sztuki, i chętnie ponegocjuję z panem o dokupieniu do nich jeszcze ze czterech innych. Zbiorę je razem, oddzielę i przepędzę do karawany, zaraz jak tylko ustalimy warunki.

Barra zmarszczył brwi.

— Zaraz, chwileczkę — zaprotestował. — Oczywiście, mogę z panem negocjować zakup każdej sztuki z tego stada. Proszę jednak pamiętać, że jestem właścicielem przedsiębiorstwa hodowlanego. Z pewnością nie zgodzę się komuś oddać dwójki zwierząt w doskonałym stanie, tylko

dlatego że ten ktoś twierdzi, iż one są jego. Zanim je oddam, chciałbym zobaczyć jakiś dowód na to, że ta para należała do pańskiej kolumny.

— No cóż, gdyby była taka potrzeba, mógłbym dowieść swojego prawa własności. Także przed sądem. Pomimo wszystko, przez pewien czas pracowałem z tymi stworzeniami i każdy kompetentny psionik będzie mógł...

Makun popatrzył na Barrę z namysłem.

— Wie pan, nie jestem pewien, czy podoba mi się takie kwestionowanie moich słów. W ogóle nie jestem pewien, czy podoba mi się ta cała sprawa. Wydaje mi się, że w tej chwili na miejscu byłyby tu pewne wyjaśnienia – a także coś w rodzaju przeprosin. Wtedy, niewykluczone, że moglibyśmy puścić to wszystko w niepamięć i porozmawiać o interesach.

— Nie widzę potrzeby, abym musiał z czegokolwiek się tłumaczyć. I z całą pewnością, nie mam zamiaru nikogo za nic przeproszać. Przynajmniej, nie pana. Po prostu przedstawiłem rozsądną prośbę. Pomimo wszystko, te zwierzęta są na mojej ziemi i w moim stadzie. Nie widzę na nich żadnego znaku identyfikacyjnego.

Barra wzruszył ramionami.

— Prawdę mówiąc, nawet nie wiem, które z nich są przedmiotem pańskiego roszczenia. Proszę tylko o wskazanie sztuk należących, jak pan twierdzi, do pana i jakiś rozsądny dowód, że rzeczywiście pochodzą one z pańskiej kolumny. Z pewnością, samo żądanie ich oddania jest... no cóż, sam pan chyba przyzna, jest nieco słabym dowodem.

Makun popatrzył na niego z gniewem.

— Proszę mnie teraz wysłuchać. I to naprawdę uważnie. Nie jestem głupi i nie jestem ślepy. Widzę te wszystkie klejnoty, którymi jest pan obwieszony, i wiem dlaczego je pan nosi. Wiele mi o panu mówiono, może być pan tego pewien. Proszę nie myśleć że nie zauważyłem tej aury protekcyjnego traktowania jaką pan roztacza, i nie uważać że mi się ona spodobała. Zauważyłem i nie spodobała mi się. Wiem, że pan się boi. Wiem, że zamartwia się pan na śmierć z obawy, że coś przeciwko panu podejmę. Zauważyłem to już od razu, kiedy po raz pierwszy z panem rozmawiałem.

Zrobił krótką przerwę.

— Och, próbowałem to ignorować, i jeśli mam być szczery zaczynałem już mieć tego dosyć. Siedzę w tym karawanowym biznesie od bardzo dawna. Zawsze byłem uczciwy i jestem przyzwyczajony do uczciwego zachowania. A teraz, wysyła pan do mnie mnóstwo pobocznych myśli o kradzieży, a ja nie lubię być traktowany jak jakiś podstępny złodziej. I nie mam również zamiaru pozwolić na coś takiego. A teraz, lepiej będzie jeśli oczyści pan tę aurę wokół siebie, i wtedy możemy przejść do rozmowy o interesach. W przeciwnym razie, będzie pan miał poważne kłopoty.

Barra poczuł napływ furii, wzbierającej ponad dręczący go strach. Ten golec, klaun, naprawdę ośmiela się próbować zdominować członka klasy rządzącej? Wziął głęboki oddech.

— Nie mam...

— No dobrze, posłuchaj mnie, ty szczurze... Wypełzłeś trochę za daleko ze swojej nory. A teraz lepiej szybko uciekaj tam z powrotem, zanim zapalę światło i przysmażę ci futro.

Powódź siły mentalnej, która zalała Barrę miała niemalże fizyczną siłę. Odskoczył do tyłu, marszcząc twarz z przerażenia. Makun spojrzał na niego ze wzgardą.

— Wystarczy. A teraz, powiem ci tylko...

Płynnym ruchem dłoń Barry sięgnęła do kolby dystortera. Płonący zimnym ogniem klejnot, zdawał się sam unosić w powietrzu.

Przez nieskończenie krótką chwilę, na twarzy Makuna odbijało się przerażone zrozumienie, zanim rozplynęła się ona w bezkształcie.

Barra odłożył dystorter z powrotem na uchwyt, patrząc z obrzydzeniem na bałagan na poduszkach. Są już do niczego, pomyślał. Będzie musiał je także zniszczyć. Czyszczenie nie wchodziło w rachubę. Pokręcił głową.

Podobnie jak te wszystkie silne typy, Makun zapomniał o pewnej prostej sprawie. Mając strach za nieustannego towarzysza, Barra musiał nauczyć się z nim żyć.

Ekstremalna presja psychiczna była jedynie inną formą strachu. Potrafiła ona sparaliżować odważniejszych duchem – i często tak się działo. Jeśli chodzi o Barrę, sprawiła tylko, że poczuł się nieprzyjemnie, nie zakłócając przy tym jego kontroli nad sobą. Zaś nienawiść, którą miał w sobie od zawsze, była nienaruszona – a nawet wzmocniona przez uderzenie grozy.

Im bardziej Barra był przerażony, tym skuteczniej potrafił zaatakować.

Oparł się wygodniej w fotelu, czekając aż uspokoi się jego łomocące serce. W końcu odzyska na tyle spokój, aby wyprowadzić łódź z bagna i wrócić do rezydencji.

Jutro? No cóż, będzie musiał spisać ładunek, który przywiózł ten człowiek. Musi też sprawdzić jego zwierzęta pociągowe. Być może będzie w stanie rozpoznać u nich tę ukrytą tożsamość, o której wspomniał Makun.

Musi też rozporządzić około dwudziestoma nowymi niewolnikami. Przywołał uśmiech na twarz.

Teraz, kiedy już o tym pomyślał, ta sprawa mogła skończyć się zyskiem. W końcu Dar Makun został zmuszony do zejścia z trasy i stracił część swojej karawany. Wiadomo było, że w pobliżu burzliwych wirów pustki, karawany czasami znikają.

Wystarczyło jedynie twierdzić że nie zna losów karawany Dar Makuna, jeśli pojawią się jakiegokolwiek pytania. Och, oczywiście, Dar Makun był tutaj, mógł powiedzieć każdemu kto zapyta. Został na noc, a potem wyruszył dalej, mówiąc coś o okrążeniu pustki i powrocie na normalny, północny szlak.

Teraz czuł się już lepiej. Skierował swą uwagę na kryształ sterujący i łódź zawróciła, aby ruszyć kanałem do jeziora.

Zajął mu to więcej czasu, niż myślał. Był wieczór następnego dnia po śmierci Dar Makuna, kiedy Barra obrócił się w fotelu, uniósł rękę, po czym zatoczył nią szeroki krąg.

Szybko wysłana myśl zatrzymała na chwilę jego wierzchowca i jeszcze raz rozejrzał się po gęstym lesie.

Ta polana była bardzo blisko wioski Celdalo, tak jak to sobie zaplanował. Wieśniacy nigdy nie zaglądali w ten gęstą płataninę drzew, ale koło lasu zawsze mógł się znaleźć ktoś, kto coś zauważy i będzie się zastanawiał co się dzieje. Uśmiechnął się ponuro.

Oczywiście, nie robiło specjalnej różnicy, co myślą niewolnicy – jeśli w ogóle potrafią myśleć – ale nie było powodu, by zostawiać niepotrzebne ślady całodniowej pracy.

Odwrócił się do tyłu w swych poduszkach i popatrzył na rząd zwierząt pociagowych. W tej właśnie chwili łamały one równą linię, tworząc półkole, naprzeciw znajdujących się przed nimi drzew.

Wymusił na swym wierzchowcu polecenie, aby stanął, a następnie uniósł się z wyściełanego poduszkami fotela między płytami pancerza. Na kilka sekund zawisnął w górze, spoglądając na bestię, którą przyjechał.

Tak, pomyślał. Dobrze by było wyhodować sobie parę takich stworzeń. Pozwalały łatwo sobą kierować i wygodnie się nimi jechało. Całkiem wielu mistrzów karawan mogło dać się przekonać do porzucenia swych mniej wygodnych wierzchowców i zamiany ich na jednego z tych, kiedy tylko spróbują całodobowej przejażdżki.

Jeden po drugim, ogromne zauriany zbliżały się do krawędzi lasu i wchodziły na polanę, a potem przykucały, aby pozwolić swoim woźnicom ześlizgnąć się na ziemię. Barra popatrzył na woźnicę prowadzącego.

— Złóżcie tutaj ładunek na stos — rozkazał, — po tej stronie polany. Będziecie tutaj czekać na swojego mistrza.

Mężczyzna wyglądał na zbitego z tropu. Napłynęła od niego mglista myśl z pytaniem. To nie była naprawdę w pełni spójna myśl, ale tylko wrażenie wątpliwości – niepewności. Barra zmarszczył z niecierpliwością brwi.

Tak samo było, kiedy kazał temu człowiekowi załadować towary z powrotem, w Tibarze. Może nie było w tym nic dziwnego, że Dar Makun został zmuszony do nauki wokalizacji, jeśli to był najlepszy niewolnik, jakiego mógł znaleźć, aby zrobić z niego swojego przywódcę.

Uważnie uformował projekcję. Pokazał, jak zwierzęta transportowe gromadzą się w kręgach rozładowniczych. Sprawił, że jedno ze zwierząt odwróciło się i położyło łeb na plecach drugiego. Szeroki pysk otworzył się, z krótkie, kołkowate zęby chwyciły za pętlę mocującą juków z ładunkiem. Potem dłuższyjecz odwrócił się z powrotem, aby powtórzyć pokaz.

Barra obserwował jak stojący przed nim mężczyzna kiwa posłusznie głową ze zrozumieniem. Wydał mu ostry, stanowczy rozkaz.

— A więc, zrób to! Zrób to, co ci pokazano.

Mężczyzna wydał z siebie jakieś dźwięki, a potem odwrócił się, pokrzykując na innych woźniców.

Barra przyglądał się jak sarta ładunków rośnie w górę. W końcu, ostatecznie juki znalazły się na miejscu i na ogromne stosy założono ciężką tkaninę ochronną. Barra popatrzył na przywódcę.

— Zbierz swoich woźniców — rozkazał. — Chcę im coś pokazać.

I znowu miała miejsce chwila konsternacji, ale tym razem mężczyzna zrozumiał główny sens polecenia. Ponownie odwrócił się, coś pokrzykując.

Kierowcy popatrzyli po sobie pytająco, a potem powoli ruszyli naprzód, tworząc ciasną grupę przed Barra, który przyglądał się im, aż znaleźli się w zadowalającej pozycji.

Przez kilka sekund koncentrował się na całej grupie, rozpoczynając po swej lewej stronie tworzenie projekcji.

Kiedy powietrze załśniło i zaczęło układać się w kształty, oczy woźniców skierowały się w tamtą stronę. Barra uśmiechnął się z napięciem i wyciągnął dystorter. Kiedy pociągnął nim przez grupę niewolników, kryształ zapłonął jasnym ogniem.

Utrzymywał dopływ energii, zamiatając dystorterem w tą i z powrotem, dopóki to, co zostało nie zmieniło się w wielką kałużę szlamu, rozplywającą się powoli i wsiąkającą w ziemię. W końcu schował pręt z powrotem pod ramię i przyjrzał się otaczającej go scenie.

Pozostał stos ładunków. Pozostały zwierzęta transportowe. Ale z karawany nie pozostał ani jeden człowiek, czy też pseudocząłowiek. Jego uśmiech się poszerzył.

Kiedy już uporządkuje ten ładunek i przeniosą go do Rezydencji oraz do różnych magazynów na terenie Posiadłości, wszelkie ślady po Dar Makunie i jego karawanie, znikną.

Z pewnością parę wiosek zauważy, że ich stada uległy zwiększeniu, ale tym nie trzeba było się przejmować. Westchnął.

To był ciężki dzień i czekała go ciężka praca przez całą noc. Będzie musiał na pewien czas zapomnieć o swej godności i wykonywać prawdziwą pracę. Ale to było niezbędne. I było w tym również mnóstwo forsy.

Reszta świata miała wiedzieć jedynie, że Dar Makun i jego karawana opuścili Kira Barrę, by wrócić na północny szlak. A burzliwa pustka pochłonięła ich bez śladu.

Odwrócił się. Będzie musiał przenieść łodzie z których korzystał, na pobliską plażę. Ich surogaty były już dostrojone i gotowe do działania, a jeden z nich wyposażony był w pomocniczy kryształ energetyczny. Będzie go potrzebować.

Kiedy łodzie dotrą do pomostów w wioskach, poszczególni przywódcy będą się kierować jedynie instrukcjami podawanymi przez surogaty łodzi. Zakończy tę operację w ciągu kilku godzin.

Mijały dni, zmieniały się w tygodnie, a potem miesiące. Stopniowo, Barra zmienił swoje nastawienie do mistrzów karawan. Kiedyś był ostrożny

w kontaktach z nimi, pozwalając jedynie wybranym, nielicznym z nich, na prowadzenie interesów w granicach swojej posiadłości.

Teraz jednak znalazł nowe, obfite źródło dochodów. I spłynęło na niego również nowe poczucie siły. Karawany w Kira Barra stały się bardziej niż mile widziane.

Oparł się wygodnie w swoim nowym fotelu, rozkoszując się łatwością, z jaką natychmiast dopasował się on do jego ciała. Czuł się dokładnie tak jakby unosił się nad ziemią, a jednak nie wymagało to utrzymywania napięcia koncentracji na żadnych urządzeniach kontrolnych. Pozwolił sobie na pełne odprężenie i skierował swą uwagę na kryształ widokowy.

On też był nowy. Stary, należący kiedyś do jego ojca, który zabrał ze sobą do nowej Rezydencji, wydawał się zupełnie nieodpowiedni, gdy sama rezydencja została odnowiona. Ten nowy system widokowy został zaprojektowany do użytku profesjonalnego. Miał pełne dwadzieścia stóp średnicy i mógł tworzyć trwałe projekcje o rozmiarach tysięcy stóp sześciennych.

Zwierzęta, drzewa, pseudoludzie, wszystko to mogło pojawić się przed nim, tak jakby było fizycznie obecne w jego gabinecie. Ponadto nowy sprzęt był prostszy niż stary i dużo bardziej precyzyjny w sterowaniu. Westchnął.

Posiadłość prosperowała. Oczywiście, był ostrożny. Wiele karawan przybyło do Kira Barry i odjechało, a ich mistrzowie byli bardzo zadowoleni z uczciwego postępowania Posiadłości. Kilku wróciło, a potem, po raz kolejny.

Byli także inni, którzy pojawili się w chwilach gdy pustka była niespokojna, i to od nich zbierał swoje żniwo. Był wybredny w swych wyborach, dokonując uważnej oceny przed podjęciem jakichkolwiek działań.

Przez cały ten czas jego działania były bezbłędne – sprawne, rutynowe postępowanie, które nie dopuszczało możliwości żadnych błędów. Uśmiechnął się, kiedy przypominał sobie swoje nieudolne wysiłki związane z pierwszą karawaną oraz pierwsze ich ulepszenia, zastosowane w przypadku następnej. Jak nazywali się ci ludzie?

Wzruszył ramionami. Pamiętał, że ten pierwszy facet praktycznie prosił się o to, aby zrobić z nim porządek, pamiętał również swoją przerażoną analizę sytuacji po tym pierwszym kroku. Rozważył wtedy całą długą linię możliwych wyborów, odrzucając je jeden po drugim, aż do chwili gdy w nieunikniony sposób otrzymał idealną metodę działania. Uśmiechnął się.

Kiedy w końcu zdecydował się na generalną metodę, cechowała ją elegancka prostota. Ale była ona dosyć daleka od doskonałości. Zasadniczo, przez cały czas korzystał z tego samego planu

Teraz, oczywiście, był on bardziej dopracowany i nawet prostszy niż przedtem. Obejmował dwie ogólne procedury.

Większość mistrzów karawan traktowana była z największą atencją. Pozwalano im przejechać przez Posiadłość przy jedynie symbolicznych opłatach i zapraszano do korzystania z uprzejmości Posiadłości w dowolnie wybranym momencie w przyszłości. Kiedy w grę wchodziły transakcje z udziałem Posiadłości, opłaty były oczywiście anulowane. I wielu z nich

powróciło, przynosząc ze sobą towary i informacje, jak również zabierając produkty z Posiadłości.

Były jednak również karawany nadciągające w czasie zawirowań pustki i które wydawały się warte zachodu dla obecnie już wypraktykowanych oczu Kio Barry. Te były uznawane za dojrzałe do żniw. Ich właścicielom oferowano uprzejmość Posiadłości – i coś znacznie więcej.

Zabierano ich na wycieczki krajoznawcze – albo na jezioro – albo aby zobaczyli jakieś cenne zwierzęta transportowe, które można było kupić po okazjnych cenach.

Następnie, w kompletnym odosobnieniu, wiązka dystortera robiła z nimi porządek.

Ich towary rozpraszane były po różnych magazynach, a następnie rozprowadzane bezpiecznymi kanałami, które Barra pieczołowicie utrzymywał. Należących do nich niewolników, oczywiście, eliminowano.

Barra żałował tego marnotrawstwa cennego dobra, ale w ten sposób nie mogło dojść do wycieku informacji i żadne dochodzenie nie mogło zakończyć się sukcesem.

W jednym przypadku było trochę pytań, ale dotyczyło to początkowych czasów.

Pytający odjechał bez żadnych podejrzeń. Przyjrzał się ze wzgórz pustce i zgodził się z Kio Barra, że stanowi ona zagrożenie. Wysłuchał ze współczuciem pełnych smutku komentarzy Barry na temat niewolników i stad, które wpadły w pustkę i nigdy więcej już o nich nie słyszano.

Barra aktywował kryształ widokowy. Nadszedł czas na kolejną inspekcję Posiadłości.

Projekcja uformowała się i Barra nagle znalazł się w lesie, spoglądając z niego na szerokie pole. Zboże falowało na lekkim wietrze, a tu i ówdzie widać było sylwetki zarówno długoszyjców jak i płytowców, na wpół skryte w trawie i między drzewami.

Skaner przemieścił się do przodu, pokonując pole i kontynuując wędrówkę do innego lasu, przesuwając się po wcześniej wyznaczonej mu trasie. Barra obserwując, odprężył się. Kiedy skan pokonał pole, bagno i las, skinął głową z satysfakcją. Posiadłość była w znacznie lepszej formie niż kiedykolwiek wcześniej.

Nagle zatrzymał skan, spoglądając krytycznym wzrokiem na pokazywane obecnie miejsce. Znajdował się na centralnym placu w Tibarze. A wioska nie pasowała do standardów, które chciałby aby obowiązywały w Posiadłości.

Popatrzył krytycznie na chaty. Wyglądały na zaniedbane. Minęło zbyt wiele czasu, odkąd wymieniono strzechy na dachach. Podpory ścian trochę się poprzekrzywiały, poodchylały się nieco od pionu.

W obramowaniu studni znów pojawiły się zniszczone kamienie, a stos kamienia kupionego do ich naprawy nie był porządnie ułożony. Zmarszczył brwi.

To nie był pierwszy raz, kiedy musiał wziąć Tibarę twardą ręką. Oczywiście zastępował również przywódców w innych wioskach – w niektórych przypadkach nawet niejednokrotnie. Ale Tibara pracowała już pod kierownictwem swojego trzeciego szefa. Z tą wioską było coś zdecydowanie nie tak.

Oczywiście, Tibara była wsią, w której kwaterowano większość niewolników z karawan. W tym celu zbudowano specjalny dom noclegowy, który był często używany. Naturalnie utrzymywali go mieszkańcy wioski. To jednak pogarszało jeszcze tylko kwestię tej tandety. Tibara powinna być najładniejszą, najlepiej utrzymaną wioską w całej Kira Barze. Niestety, nie była.

Zmarszczka na jego czole pogłębiła się. Tym razem Tibara zostanie oczyszczona, a on będzie jej musiał poświęcać więcej uwagi. Wioska pozostanie czysta, jeśli mieszkańcy wioski będą musieli spędzać na jej utrzymaniu każdą sekundę czasu, kiedy tylko nie będą musieli zajmować się stadami, łodziami i domem dla gości.

I w tych innych obszarach także nie będzie leniuchowania.

Rozejrzał się po placu. Musiał przyznać, że dokoła nie było w tej chwili nigdzie widać żadnych próżniaków. Dostrzegał jedynie kobiety i dzieci. A kobiety były bardzo zajęte.

Ponownie przestudiował okolicę. Mężczyźni zaczną się schodzić z pól oraz z jeziora, za około godzinę. Musi przebadać parę innych wiosek, a potem ponownie zwróci uwagę na Tibarę.

Retonga, przywódca Tibary, podciągnął się ze zmęczeniem do pozycji siedzącej. Popatrzył na drugą stronę pomieszczenia. Mir już była na nogach. Uśmiechnęła się do niego niepewnie.

— Jeszcze wcześniej — powiedziała. — W końcu mamy dzień odpoczynku.

— Tak. — Retonga zamknął na chwilę oczy. Dla niej to również były złe chwile, wiedział o tym. Prawdopodobnie podczas tych ostatnich paru dni ciężko było z nim żyć. Westchnął.

„Dzień odpoczynku” — pomyślał. — „Tyle, że to nic nie znaczy. Wciąż jest coś do zrobienia. Ostatnio zawsze jest coś do zrobienia.”

Podniósł się na nogi.

— Szkoda, że nie jestem zwykłym pasterzem – najlepiej w jakiejś innej wiosce. — Podeszedł do drzwi i wyjrzał na dwór.

Ktoś porzucił kamienie ze stosu materiału budowlanego. Dzieci zeszłej nocy bawiły się na placu i ziemia była mocno zryta nogami. Tu i ówdzie po całej wiosce poniewierały się kawałki drewna i strzępki ubrań.

Popatrzył na domy. Dach chaty Folshana trochę zwisał, zauważył. A koło jego drzwi leżało porzuczanych parę lalek. Pokręcił głową i wyszedł z domu na plac.

Stary Tamiso przykucnął koło studni. Retonga podeszedł do niego.

— Twój stos kamieni — zwrócił mu uwagę. — Parę kamieni jest porzuczanych.

Starszy mężczyzna rozejrzał się, a następnie wzruszył ramionami.

— Po prostu musiałem wybrać ten tutaj — wyjaśnił. — Kiedy go ułożyłem, potrzebny mi był kolejny. Uporządkuję stos, kiedy tu skończę.

Retonga uśmiechnął się ze zmęczeniem.

— A co jeżeli nasz mistrz zobaczy twój stos teraz?

Tamiso podniósł się z trudem, pocierając w zamyśleniu plecy.

— Tak — stwierdził. — Mistrz może zadać wielki ból, a wygląda na to, że ostatnio przez cały czas obserwuje.

Podszedł do kamieni.

Przez chwilę Retonga patrzył, jak poprawia swój stos, a potem odwrócił się, przekręcając głowę do tyłu.

— Folshan, obudź się! — krzyknął. — Słońce już patrzy z góry, a chyba nie chcesz żeby cię zastał śpiącego?

Z drzwi wyrzała głowa.

— To dzień odpoczynku. Zaraz wstaniemy, ale po co ten pośpiech?

Retonga pokręcił głową.

— Wiem, że to jest dzień odpoczynku. Ty też wiesz, że to jest dzień odpoczynku. Ale jest taki jeden, który zapomina o tego rodzaju rzeczach. Pamiętasz tamten wieczór?

Folshan skrzywił się, a Retonga wskazał ręką otoczenie chaty.

— Lepiej weź i pozbieraj te lalki. No i ten twój dach. Pomogę ci z nim.

Folshan wyszedł z chaty, a potem rozejrzał się.

— Nie — powiedział powoli. — Jesteś przywódcą. Pamiętasz, co się stało ostatnio? Niech mistrz złapie cię, jak pomagasz nam w pracy, a będziemy potrzebowali kolejnego przywódcy.

Pokręcił głową.

— Tym razem, jeszcze mógłby wybrać mnie.

Pochylił się, żeby pozbierać pozostawione przez swoją córkę zabawki.

— Kina! — zawołał. — Powiedz Chamie, żeby zbierała swoje zabawki, albo może potrzebować nowego ojca.

Odwrócił się z powrotem.

— Poproszę Kesontę, żeby mi pomógł z tym dachem. Za jakąś godzinę będzie prosty.

Retonga spoglądał za nim przez chwilę, a potem zauważył dwójkę kobiet. Pokazał im gestem żeby zamiotły plac, a potem podszedł z powrotem do własnych drzwi.

Odwrócił się, przyglądając się wiosce w najdrobniejszych szczegółach.

— Popatrzmy. Czy jest jeszcze coś, co mogłoby się nie spodobać mistrzowi?

Ponownie zmierzył dokładnie wzrokiem każdy dom.

W końcu odwrócił się, idąc w stronę ścieżki nad jezioro.

— Pewnie obejrzy sobie też nabrzeże — powiedział do siebie — i dom noclegowy.

Szedł powoli ścieżką, sprawdzając po drodze podłoże lasu. Gdy dotarł na plażę, popatrzył w stronę pomostu, a potem skrzywił się.

Kilkaset jardów dalej, po jeziorze mknął w jego stronę wysoki klin wody. W czubku litery „v” widać było kształt łodzi, z wysoko uniesionym nad wodę dziobem.

— Och, nie — wyjęczał pod nosem. — Znowu kłopoty.
Czekał.

Kiedy fala uderzyła o molo, rzucił się do przodu, aby zabezpieczyć łódź. Kio Barra ledwie na niego spojrział. Pokrótce odebrał wrażenie szerokiego pola. Przecinał je rząd wielkich bestii, ich długie szyje podskakiwały w rytmie stawianych kroków. Pokiwał głową ze zrozumieniem.

Zbliżała się karawana. Oczywiście, był to kłopot, ale pomniejszej natury. Odwrócił się, by ruszyć za lśniąca postacią, płynącą w powietrzu w stronę ścieżki prowadzącej do wioski.

Kiedy karawana się zatrzymała, bestia Narana zgięła kolana i przykucnęła. Ześlizgnął się na ziemię.

Zaczynam już to łapać, powiedział sobie. Początkowo musiał walczyć z niemalże nieodpartą chęcią, aby normalnie opuszczać się w powietrzu, ale obecnie chwytanie się ciężkich płóciennych pasów i zsuwanie się po nich, aż stopy staną solidnie na ziemi, wydawało się już czymś całkiem naturalnym. Odwrócił się.

— W porządku — krzyknął. — Łapcie za wodze. Utwórzcie wokół mnie kręgi wyładowcze. Zostaniemy tu przez dzień lub dwa.

Popatrzył, jak juki unoszą się z grzbietów zwierząt, a potem zwrócił uwagę na człowieka, który witał się z Dar Girdekiem.

A więc, to był Lord Mountain Lake. Pokręcił głową. Ten człowiek świecił się niemalże od stop do głów. Naran uważnie przyjrzał się klejnotom. Nosił koronę czwartego rzędu. Nie robili cięższych, od takiej. A jeśli było jakieś urządzenie, którego tamten na niej nie miał, to on nigdy o nim nie słyszał.

Ponadto rozpoznał trzy silne osłony, lewitator mocy, zestaw destruktorów i pierścieni paraliżujących, oraz medalion projektora, zdolny do utworzenia kilkuset stóp sześciennych trwałej, pełnej detali iluzji. Pokręcił głową.

Ten człowiek musiał przez lata wydawać całe dochody ze swojej posiadłości to aby zebrać ten arsenał. Było tam tego wystarczająco dużo, na wyposażenie pełnej grupy bojowej kompetentnych psioników.

— Jeżeli ten facet potrzebuje tego wszystkiego, jedynie po to aby jakoś funkcjonować, musi być tak blisko zera psionicznego, jak to tylko możliwe — powiedział sobie Naran. — Albo jest obciążony taką obsesją władzy, jakiej jeszcze w życiu nie widziałem.

Zmarszczył brwi.

— Ewentualnie jedno i drugie naraz — dodał w zamyśleniu.

Ponownie popatrzył na blask klejnotów.

Słabo wyczuwał kwaśny smak uczucia strachu. Działał on jako nośnik dla mieszanki nienawiści, zazdrości i pogardliwej pychy. Naran cicho zagwizdał. Było jeszcze coś więcej. Szkoda, że nie ośmielał się użyć sondy, ale przy tym całym arsenale kryształów psionicznych, byłoby to bardzo nierozsądne.

Jeśli sonda uderzy w te jego osłony, to odbije się od nich z łomotem jak milion dzwonów — pomyślał. Odwrócił się.

Będzie musiał trzymać tutaj swój umysł pod pełną przykrywką. Rzucił ponownie okiem za siebie, zerkając na pręt dystortera, który nosił Barra. Oczy lekko mu się rozszerzyły.

— Przy odpowiednim zasilaniu, ta zabawka mogłaby zatrzymać okręt marynarki wojennej Piątej Planety.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Uzbroić w to wszystko paruset ludzi, a mogliby ruszyć w kosmos i roznieść Piątą na strzępy, kawałek po kawałku. Potem nie musielibyśmy się już przejmować tymi ludźmi i ich mechanicznymi zabawkami.

Ściągnął swoją uwagę z powrotem na bieżące sprawy, wsłuchując się w myśli Dar Girdeka.

— ...a później, po południu, będziemy mogli zwiedzić Posiadłość — mówił właśnie Barra. — Może uda mi się pokazać panu jakieś wartościowe towary, jak również parę dobrych zwierząt jucznych, które mogłyby je przewieźć.

Naran zaryzykował lekką sondę, wykorzystując odwróconą uwagę Barry.

Miałem rację, pomyślał. To było „jedno i drugie”. Pokręcił głową. Ten facet był niemalże żalosny. Ewidentnie pragnął być największym człowiekiem na świecie. I równie ewidentnie, bez swych klejnotów wzmacniających, byłby zaledwie nieco silniejszy psionicznie niż niejeden z woźniców Dar Girdeka.

Gdy Dar Girdek podążył za swym gospodarzem do wioski, Naran ponownie skupił uwagę na swoich woźnicach. Musiał rozbić obóz, a potem spotkać się z tym przywódcą wieśniaków. Było mnóstwo rzeczy, do ustalenia.

Zaskoczony był propozycjami, które przygotował dla niego Retonga. Nie było żadnych wątpliwości, że przyjmowanie karawan było zajęciem z którym ten przywódca był dobrze obeznany. Znał wszystkie wiążące się z tym problemy – oraz ich rozwiązania.

Oczywiście, Dar Girdek wspominał mu o gościnności Kira Barry, ale trzeba było to zobaczyć na własne oczy, żeby uwierzyć. Spędził pierwszą naprawdę spokojną noc od wielu tygodni.

Następnego dnia, rano, szedł powoli ścieżką prowadzącą do domu noclegowego dla woźniców, nie zwracając uwagi na otoczenie. Jakoś, pomimo dobrego przyjęcia, które spotkało karawanę, czuł niepokój.

Przypomniawszy sobie rozmowę z Retongą, poprzedniej nocy.

Mężczyzna zadawał pytania na temat warunków na szlaku. Był ciekaw kwestii traktowania woźniców przez mistrza karawany. Potem pokręcił głową, patrząc na swoją wioskę.

— Tutaj jest znacznie inaczej. To miejsce, w którym panuje śmierć i strach, a nasz mistrz jest ich panem. Byłem dzieckiem, kiedy umarł jego ojciec, ale wydaje mi się, że wtedy było inaczej.

Spojrzał badawczo na Narana.

— Nigdy wcześniej nie wspominałem nikomu o tych sprawach — mówił dalej — ale jest jeszcze coś...

Opuścił wzrok na ziemię, a potem ponownie uniósł go na niego.

— Nasz mistrz został Kio poprzez śmierć swego brata — kontynuował — a ja znalazłem się na stanowisku przywódcy tej wioski poprzez śmierć innych przywódców.

Uciekł wzrokiem w bok, na drzwi swojej chaty.

— Ja nie brałem udziału w powodowaniu tych śmierci. Życie przywódcy tutaj, w Tibarze, jest krótkie i nikt oprócz głupca nie będzie walczył o to stanowisko. Nie jest ono tego warte. Wymagania mistrza są ciężkie, a jego ręka jeszcze cięższa.

To nie pasowało do reputacji Kio Barry jako uprzejmego gospodarza – uczciwego człowieka, z którym można było robić interesy. Skłoniło to Narana do zastanowienia.

Czy jego brat naprawdę stąd wyjechał? Ale jeśli nie, to gdzie są jego woźnice? Co się stało z jego karawaną i zwierzętami jucznymi? W jaki sposób usunięto ładunek, który przywiózł ze sobą?

Och, oczywiście zdawał sobie sprawę z tego, że są mistrzowie karawan, którzy przyjmą ładunek, zadając minimalną liczbę pytań. Towary można było rozprowadzić. A to w końcu jest posiadłość hodowlana. Niewolnicy? Pokręcił głową. Wręcz za proste!

Wrócił do teraźniejszości, patrząc w zamyśleniu na stojący przed nim dom noclegowy. Potem wysłał delikatną sondę, próbując nawiązać kontakt z Darem Girdekiem. Mógł być w prawdziwym niebezpieczeństwie.

Zmarszczył brwi i zaczął sondować z większą siłą. Żadnych efektów. Zmarszczka na jego czole pogłębiła się.

Wczoraj, po rozmowie z Retoną, nawiązał kontakt z mistrzem karawany, ale starszy mężczyzna nie przywiązywał wagi do jego podejrzeń.

— Nie — odpowiedział myślą — widzi pan rabusia za każdą skałą. Kio Barra to twardy pan, oczywiście. Ma tutaj olbrzymią posiadłość i naprawdę trzyma ją mocno w garści. Jest dobrym gospodarzem i naprawdę niezłym partnerem w interesach – liberalnych kupcem. Niech pan pamięta, że znam tego gościa. Byłem już tutaj.

Towarzyszyło temu wrażenie uśmiechu.

— Poza tym, ten facet jest nieszkodliwy, pamięta pan? No pewnie, jest biznesmenem. Ale gdyby spróbował czegokolwiek agresywnego, jestem w stanie zająć się nim, nie tracąc nawet czasu, żeby o tym pomyśleć

I ostateczna, bagatelizująca myśl.

— Proszę posłuchać, niech pan da sobie z nim spokój, dobrze? Jeśli już musi pan kogoś podejrzewać o brudne sztuczki, to niech pan weźmie na cel któregoś z tych, z północy. Kio Barra jest zbyt znany z uczciwego handlu. Dobiję z nim targu, a potem możemy wracać na północny szlak i na poważnie rozejrzeć się, czy nie znajdziemy jakichś śladów karawany pańskiego brata.

Naran kopnął w wiszącą wodzę. Dar Girdek był dobrym przedsiębiorcą i odnoszącym sukcesy mistrzem karawany. Znał się na towarach i ich wartości, a także był ekspertem w obsłudze zwierząt i doborze woźniców. Ale nigdy nie cechowała go zbyt duża czułość. I absolutnie odmawiał noszenia wzmacniacza sondy.

— Ech — pomyślał z niesmakiem. — Ciekawe czy chciałbyś robić interesy z gościem, który nosi na głowie wielki, silny reflektor, żeby ci pokazać że ma ochotę pogrzebać ci w myślach?

Naran postawił stopę na najniższym szczeblu krótkich schodków prowadzących do drzwi domu noclegowego

Wiedział już, gdzie wylądował jego brat, chyba że się kompletnie mylił. A teraz dołączył do niego Dar Girdek. Szczegóły? Wzruszył ramionami.

Nie były ważne. Ale co dalej? Jaki będzie następny krok w planach Barry? I co można było zrobić z tym człowiekiem? Wspiął się po schodkach i wszedł do domu noclegowego.

Oczywiście, gdyby Rada o tym wiedziała, mogłaby rozwiązać tę sytuację. Potrzebowali tylko najmniejszego śladu dowodu i Kio Barra zajęto by się szybko i sprawnie. Ale w jaki sposób ktoś mógłby dać im znać?

Posiadłość była wyladowana surogatami, wiedział o tym. Niemożliwością było aby karawana – czy nawet jeden człowiek – mogła się tutaj dostać albo wyjechać bez wiedzy i zgody Mistrza Protektora. Uśmiechnął się szyderczo.

Już to widział, jak Kio Barra pozwala komukolwiek się stąd wydostać z dowodami na jego działalność. Uśmieszek rozpułynał się.

Projekcja dalekiego zasięgu? I tu znów te surogaty. Dostrojone były do szerokiego pasma i dobrze o tym wiedział. Rozbłyśłyby jak bateria reflektorów.

Oczywiście mógłby przesłać błyskawiczne wezwanie i zostałby wysłuchany. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

W tej chwili byłby to dobry sposób na popełnienie samobójstwa. Nie byłoby czasu na przybycie pomocy, był tego pewien. A żadna osłona nie wytrzyma pod tym ciężkim dystorterem, nawet jeśli Barra jest w stanie użyć tylko minimalnej mocy do jego obsługi. Pokręcił głową, rozglądając się po pokoju.

Woźnice zaczęli się kręcić i wstawać z łóżek. Naran popatrzył na parobków.

— Lepiej bierz się do roboty, Bintar — powiedział. Za parę minut będziesz miał tu bandę głodnych ludzi.

— Taa. — Mężczyzna wyszedł za drzwi, ziewając. — Muszę naszykować jedzenie, jeśli nie ma nic innego do roboty. — Zszedł na dół po schodkach.

Naran obrzucił wzrokiem woźniców.

— Niedługo będzie jedzenie — powiedział. — Dobrze byłoby sprawdzić długoszyjce. Zobaczyć, czy nie wywędrowały gdzieś dalej przez noc. Nie chciałbym, żeby przemieszały się ze zwierzętami z wioski.

Jeden z woźniców popatrzył na niego.

— Ej, tam — zaprotestował. — Mistrz pewnie dobrze je uwiązał, zanim odszedł. Poza tym i tak będzie mógł je rozpoznać. Nie odejdą daleko – nie przy tych wioskowych pastuchach biegających wszędzie wokół nich.

— Jasne — odparł mu Naran. — Mistrz pewnie chętnie spędzi pół dnia, oddzielając swoje długoszyjce od wioskowych. A co na to powie Mistrz Protektor? Co on sobie pomyśli o naszym mistrzu?

Tamten spojrział na niego z niesmakiem.

— Ej, tam, a kogo to obchodzi? Po co martwić się, co jeden z czarowników myśli o innym? Dopóki nie wezmą nas w obroty, co za różnica?

Naran warknął na siebie w duchu. Zapędził się trochę. Na ten argument nie było odpowiedzi, którą mógłby przedstawić. Nauczył się rozumieć głęboko zakorzenioną urazę nie-psi do psioników – i do pewnego stopnia z nią sympatyzować. Nie-psionicy uważali że są równie dobrymi ludźmi jak wszyscy inni, a jednak istnieli ci psionicy ze swymi niezrozumiałymi mocami. I nic nie można było na to poradzić, tylko słuchać ich poleceń.

Oczywiście, nie podobało im się to - ani ich mistrzowie.

Jeśli o to chodziło, stado karawany było teraz nieistotne. Jedynym problemem był Retonga. Gdyby stada uległy pomieszaniu, miałyby poważne kłopoty.

— No cóż — powiedział na głos — ja nie mam zamiaru pozwolić, aby mistrz wziął mnie w obroty. Dużo lepiej dla nas będzie, jeśli on również będzie zadowolony. Tak jak powiedziałem, zaraz po śniadaniu, wszyscy mają wyjść do stada. — Zaczął odwracać się do niego plecami.

— Hej — warknął jego rozmówca. — Dlaczego nie staniesz ze mną twarzą w twarz? Ty po prostu należysz do gości, którzy tylko rzucają wokół siebie rozkazy i lubią zmuszać innych aby im nadskakiwali. Chyba już nadszedł czas, żeby ktoś wytłumaczył ci parę rzeczy.

Naran odwrócił się z powrotem. Rosel chodził obrażony już od samego początku, kiedy sformowano tę karawanę. Spodziewał się, że w tej podróży to on będzie woźnicą prowadzącym i nawet nie próbował kryć swego gniewu i rozczarowania z faktu, że został pominięty na rzecz przybysza.

Przez chwilę Naran zastanawiał się co zrobić. Nie było sensu aby kontynuował dłużej swoją maskaradę. Dar Girdek zniknął, a on i tak musiał zająć się powrotem karawany – jeżeli tylko zdoła się stąd wydostać, nie wpadając na Barrę.

A jeśli nie uda mu się wydostać – jeżeli dołączy do brata i Dara Girdeka – nie będzie miało znaczenia, co sobie myślą woźnice z karawany.

Może powinien teraz pokazać temu człowiekowi jego miejsce. A potem mógłby dać mu robotę woźnicy prowadzącego.

Jednak trzeba było wziąć pod uwagę jeszcze jedną rzecz. Gdyby udało mu się wydostać stąd karawanę, będzie musiał jakoś pracować z tym facetem. I przez cały czas do normalnej nienawiści i obawy przed psionikami dochodzić będzie u niego coraz większa niechęć osobista. To w efekcie mogłoby zdemoralizować całą karawanę. Naran westchnął.

Rosel odkrył przed chwilą swoje uczucia, a Naran musiał dalej grać przyjętą na siebie rolę.

Przeszedł przez pomieszczenie, aby stanąć do konfrontacji z Roselem. Nagle, wyrzucił rękę do przodu. Jego przeciwnik złapał ją w uchwyt, ale Naran zwinnie przewinął się do przodu, blokując trzymającą go dłoń.

Szybko wystawił nogę i przerzucił przez nią Rosela. Kiedy mężczyzna uderzył o podłogę, Naran utrzymał swój chwyt i przesunął drugą rękę, wykręcając ramię przeciwnika. Jego stopa wystrzeliła, uderzając z płaskiem w twarz mężczyzny, przygważdżając go do podłogi. Powoli, zaczął zwiększać nacisk na uwięzioną rękę.

— Jeszcze raz — chłodno oznajmił. — Zaraz po śniadaniu, wszyscy mają być na zewnątrz przy stadzie. Chcesz więc pójść i pracować razem z nimi, czy też mam tak wykręcać ci rękę coraz mocniej, a potem załadować cię na wóz razem z resztą zapasowego sprzętu?

— Posłuchaj — głos Rosela był zduszony. — Nie miałem nic złego na myśli. Tak tylko sobie gadałem.

— Taa, jasne. — W głos Narana słychać było nutę pogardy. — Miałeś po prostu ochotę na odrobinę rozrywki przed śniadaniem. A teraz to ty mnie posłuchaj. Dopóki to ja jestem woźnicą prowadzącym, będziesz robił to co ci każę – i kiedy ci każę. Jeśli sprawisz mi jeszcze jakiegokolwiek kłopoty, urwę ci łeb i każę ci go nosić pod pachą. Zrozumiałeś?

— Au! Tak, zrozumiałem. Jesteś woźnicą prowadzącym.

Naran zwolnił nacisk i cofnął się.

— W porządku — powiedział. — Zapomnijmy o sprawie. Teraz dokończymy razem śniadanie, a potem zajmiemy się długoszycami. Przejmiesz woźniców, Rosel. Ja muszę pójść, załatwić parę spraw we wiosce. Spotkamy się później.

Odsunął się.

Barra z satysfakcją popatrzył na swoje odbicie w lustrze. Szkoda, pomyślał, że nie ma żadnego towarzysza, który mógłby docenić jego bogactwo i moc. Uważnie sprawdził swój sprzęt.

Wszystko było gotowe. Wszystko było w porządku. Nie brakowało żadnego urządzenia.

Z dumą popatrzył na wielki żółty wisior, który założył na siebie po raz pierwszy. To zabawne, pomyślał, że nigdy wcześniej nie pomyślał o jednostce sondującej. Kiedy tak sobie teraz o tym pomyśleć, było to przecież bardzo przydatne urządzenie. Od dziś będzie mógł przyglądać się umysłom swoich wieśniaków i wyraźnie widzieć, co się w nich znajduje. Nawet może uda mu się zdobywać jakieś wskazówki co do zamiarów odwiedzających go mistrzów karawan.

Dopasowanie się do urządzenia i zapoznanie się z nim było oczywiście niełatwym zadaniem, ale opanował sposób jego użycia. I od dzisiaj mógł już nosić ten klejnot oraz z niego korzystać. Ułatwi mu on życie codzienne.

Uruchomił lewitator, podleciał do łodzi i wyciągnął ją z hangaru, ustawiając kurs w kierunku Tibary.

Najtrudniejsza część tej operacji dobiegła końca, pomyślał. Reszta była już prosta i rutynowa.

Ten mistrz karawany sprawił mu nieco więcej kłopotów niż inni, ale jego ostatnia reakcja była taka sama jak wszystkich poprzednich. Uśmiechnął się.

Ten błysk niedowierzania, po którym następowało nagłe, przerażone zrozumienie, a potem pustka, stawał się już czymś doskonale znajomym. Prawdę mówiąc, nawet to robiło się proste i rutynowe.

Zastanawiał się, czy nie dałby rady trochę rozszerzyć swojej aktywności. Być może mógłby działać na większą skalę. Trzeba znaleźć jakiś sposób, na zdobycie sąsiedniej posiadłość, a od potem wystartować dalej.

Z pewnością istnieje jakieś ujście dla jego umiejętności, poza prostym pomnażaniem bogactwa Kira Barry. I będzie musiał znaleźć sposób na zdobycie sobie jakiegoś towarzysza. Trzeba to będzie przemyśleć.

Zawinął łodzią do pomostu i wzbił się z niej w powietrze, wyniośle ignorując pseudoludzi, którzy pośpieszyli ze wszystkich stron, żeby zabezpieczyć ją linami.

Sprawdził wioskę z aprobatą, stojąc na środku polany. Od kiedy wziął się za tego nowego przywódcę, nastąpiła znaczna poprawa. Może ten człowiek okaże się jednak zadowolający – może nawet nauczy się dumy z wyglądu swej wioski – jeśli, oczywiście, pseudocząłowiek jest zdolny do takiego uczucia, jak duma.

Popatrzył na chatę przywódcy.

Mężczyzna wyszedł z niej, a za nim podążał główny woźnica z karawany. Dobrze, zaoszczędzi mu to kłopotów z polowaniem na tego człowieka.

Skoncentrował się na niewolniku z karawany.

— Twój mistrz postanowił pozostać na pewien czas w rezydencji — pomyślał z pewnością siebie. — Możesz polecić swoim woźnikom żeby załadowali towary, przeniesiecie się w inne, bardziej odpowiednie miejsce postoju.

Odpowiedź niespodziewanie była inna niż zwykle.

— Tutaj mamy miejsce, które wygląda tak jakby było specjalnie stworzone na pobyt karawan. Gdzie jest Dar Girdek?

Barra popatrzył na mężczyznę z zaskoczeniem. Co to było? Ten facet nie myślał jak pseudocząłowiek. Czyżby Dar Girdek zdołał jakoś przekonać półczłowieka, aby pracował u niego jako woźnica prowadzący? Ale dlaczego?

Odsunął się trochę do tyłu, czując narastające napięcie. Coś było tutaj nie tak.

— Niech mnie pan posłucha — nalegał stojący przed nim człowiek. — Chcę się widzieć z Dar Gidekiem. Chciałbym również się dowiedzieć, dlaczego nie mogłem się z nim skontaktować przez cały dzisiejszy ranek.

Barra zamrugał powiekami, po czym uruchomił swoją nową sondę. Musiał się dowiedzieć, co wie ten człowiek – oraz jak wiele z tego mogą wiedzieć inni. Nagle poczuł gwałtowny nawrót choroby strachu, która na moment osłabła wraz ze śmiercią Dar Girdeka.

Sonda napotkała nieprzeniknioną barierę. Oczy Barry rozszerzyły się. Ten woźnica nie był też półczłowiekiem. Musiał być jednym z silnych

psioników. Gorączkowo myśli Barry nawracały do wydarzeń z niedawnej przeszłości.

Czy to był śledczy z Rady? Czy on, Kio Barra, stał się podejrzanym? Ale w jaki sposób doszło do przecieku? Strach narastał w nim, aż niemal fizycznie poczuł jego kwaśny odór. A wraz z nim wzbierającą siłę czystej furii.

Ten człowiek mógł go zdemaskować, jasne. Rada może nawet właśnie w tej chwili wysyłała ludzi aby go pojmali, ale ten szpieg nigdy już nie pozna efektów swej pracy. Niczego tu nie zyska.

Wyszarpnął spod pachy dystorter.

Kiedy Mistrz Protektor zaczął unosić swój dystorter, Naran poczuł ostry żal. Pogodził się już ze swym losem i dokonał odpowiednich przygotowań, ale z niechęcią myślał o pozostawieniu Barry komuś innemu. Oczywiście, ten człowiek w tej chwili nie miał już żadnych szans. Zaburzenia których emisję przygotował, gdyby został trafiony z dystortera, zostaną odebrane przez każdego uczonego z Ganiadur i połowę Rady. Ale...

Nagle poczuł odrobinę litości dla stojącego przed nim zabójcy. Ten biedak nie był tak do końca wszystkiemu winien. Przez te długie lata żył z poczuciem, że cały świat jest przeciwko niemu.

Urodzony w psionicznej rodzinie, był dla tej rodziny swego rodzaju trupem w szafie – powodem do hańby – skrywanym przed resztą świata i otrzymującym tolerancyjną ochronę.

A kiedy to ledwie tolerowane stworzenie zdołało jakoś zyskać moc i zdobyć urządzenia wzmacniające? No cóż...

Kryształ był już wycelowany w jego stronę. Patrzył na niego obojętnie, rozmyślając o człowieku, który trzymał go w ręku.

— Biedny, samotny słabeusz!

Nagle wioskowy plac zalany został oślepiającym czerwonym światłem. Naran zamknął oczy w obronie przed palącym blaskiem. Minęło kilka sekund zanim otworzył je ponownie, rozglądając się po wiosce ze zmieszaniem.

Czy w jakiś sposób udało mu się zachować pełną świadomość swego ego, nawet po zredukowaniu przez wiązkę dystortera? Czy było to przejście w jakiś inny stan istnienia? Nie czuł...

Popatrzył na Kio Barrę. Mężczyzna stał z obwisłą twarzą, wciąż trzymając w dłoni pręt dystortera, ale pozwalając mu powoli opadać w kierunku ziemi. Naran pokręcił głową.

— A teraz, co się dzieje?

Sprawdził umysł stojącego przed nim człowieka.

Wyczuwał świadomość. Mężczyzna mógł myśleć, ale jego myśli były przyćmione i rozmyte, bez śladu nośnika psionicznego. Klejnoty sterujące i wzmacniające, które miał na sobie, utraciły wewnętrzny ogień – były tylko matowymi, martwymi odbłaskami słonecznego światła. Ten człowiek nie

byłby w stanie wlać w klejnoty więcej życia, niż mógł to zrobić przywódca wioski – a może nawet i mniej.

Naran patrzył na niego z niedowierzaniem, a potem odwrócił się, gdy w jego umysł uderzyła nagle, wrzaskliwa myśl.

— Cuchnący, zadzierający nosa czarownik! A my myśleliśmy, że jest jednym z nas! Jadłem z nim. Rozmawiałem z nim. Nawet się z nim biłem. Muszę uciekać. Muszę!

Myśl pełna była desperacji. Pojawiały się w niej także tony nienawiści, które rozlewały się, a następnie wzbierały.

W miarę trwania tego pełnego grozy lamentu, Naran przekręcił głowę, lokalizując jego źródło. Musiał coś z tym zrobić – i to szybko. Ten facet zaraz naprawdę zdemoralizuje karawanę – a nawet może zarazić wielkie jaszczury – wywołać wśród nich paniczną ucieczkę.

Człowiek ten miał pewne moce projekcyjne, a jego przerażenie wzmacniało je tak bardzo, że każdy mógł odbierać te rozgorączkowane impulsy, nawet jeżeli nie w pełni je rozumiał.

Naran uniósł się w powietrze, pędząc pośpiesznie w stronę karawany, a jego umysł już formował myśli, które jak miał nadzieję, ukoją paniczne przerażenie i – przynajmniej w pewnym stopniu – rozwieją szaleńczą, coraz bardziej narastającą i coraz mocniejszą, nienawiść.

Barra musiał poczekać.

Kiedy wycelował dystorter, skoncentrował się na gwałtownym impulsie potrzebnym do uruchomienia klejnotu, a jego umysł zamknął się na wszystko inne. Skupił swoją uwagę wyłącznie na celu.

Nagle zauważył dziwnie współczujący wyraz twarzy stojącego przed nim mężczyzny.

Gorączkowo próbował uporządkować myśli – przypomnieć sobie wyładowanie energii, które chciał wyzwolić poprzez swoją koncentrację.

Było jednak już za późno.

Z poczuciem rozpaczyny rozpoznał nagle, wzbierające, skręcające cierpienie towarzyszące wybuchowi przeładowanego kryształu energetycznego. Na jedną chwilę wieczności jego wszechświat zmienił się w oślepiający, ogłuszający, czerwony koszmarny.

Rozbłysk ściemniał, a on patrzył tępo, jak stojący przed nim nietknięty człowiek rozgląda się dokoła z niedowierzaniem, a potem ponownie spogląda na niego, aby dokładnie zbadać jego stan.

— Och — powiedział sobie głucho. — Pewnie zaopiekują się mną, ale co z tego? Będą musieli gdzieś mnie umieścić. Stracę wszystko. To będzie dokładnie takie samo miejsce, jak to do którego chciał mnie wysłać Boemar, kiedy...

Z wściekłością próbował przywołać choćby odrobinę energii, aby aktywować dystorter.

Nic się nie stało.

Człowiek, którego litość go zniszczyła, nagle zmarszczył brwi, po czym odwrócił się i pośpiesznie odleciał. Barra obserwował go tępo, a potem

odwrócił się i popatrzył po wiosce. Jego twarz wykrzywiła się w nowym przerażeniu.

Część mieszkańców wioski zmierzała w jego stronę z dziwnym wyrazem twarzy. Wycofał się tyłem kilka kroków i odwrócił.

Kilku kolejnych, przesuwało się tak aby odciąć mu drogę.

Coś do siebie chrząkali i syczeli. Barra przesuwał wzrokiem od twarzy do twarzy, po czym spojrzał w stronę studni.

Tam też byli ludzie, stali przy stosie kamieni. Stary człowiek, który pracował przy konserwacji murów we wiosce, podniósł z ziemi dwa kawałki materiału budowlanego.

Stał, mierząc Barrę badawczo wzrokiem, z kamieniami w obu dłoniach.

KONIEC